ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 czerwca 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
70 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

ZYGMUNT JAROSZ

GDAŃSK NIE CHCE DO RZESZY

„Danzig ist eine deutsche Stadt und will zu Deutschland". „Gdańsk jest miastem niemieckiem i chce powrócić do Niemiec". Tako rzekł kanclerz Trzeciej Rzeszy urbi et orbi w dniu 28 kwietnia. Nie minął też nawet miesiąc od owego czasu, a już widzimy, jakiemi metodami ma być przekonany świat, że oto cały Gdańsk woła wielkim głosem: „zurück zum Reich!" Kto pamięta incydenty sudeckie (przed tragikomicznym puczem henleinowców), ten przyzna, że znana nam tak dobrze skądinąd historja... zaczyna się powtarzać. „Głupich nie sieją, sami się rodzą". Człowiek, który padł w Kałdowie od kuli polskiego szofera, do ostatniej chwili nie wiedział przecież, że wyznaczono mu, jak i wielu innym, rolę „bohaterskiego" kozła ofiarnego. Zadaniem szturmówek które zjechały do Gdańska, nie jest bowiem wprost wywołać konflikt zbrojny polsko-niemiecki. Takiego konfliktu — powiedzmy to głośno i wyraźnie — Herr Hitler się boi. Miałby w nim o wiele więcej do stracenia, niż do zyskania. Wprawdzie w „Mein Kampf" czytamy, że „...odzyskanie utraconych terytorjów następuje nie dzięki świątobliwemu wzywaniu kochanego Pana Boga, ani naskutek pobożnych nadziei, pokładanych w Lidze Narodów, ale tylko w rezultacie użycia przemocy orężnej (...sondern nur durch Waffengewalt)". Jednakże tak ogólne sformułowanie samo nasuwa myśl o możliwości użycia siły zbrojnej nie dosłownie, lecz jako środka szantażu. I przecież widzimy, że ten szantaż udaje się p. Hitlerowi dotychczas znakomicie, „im grossen und ganzen", „na całego!"

Zadaniem więc szturmówek nazistowskich w Gdańsku jest drażnić i prowokować („reizen und provozieren"), przelewać krew, mnożyć ofiary w ludziach własnych i obcych, doprowadzać do ostateczności wyczerpanie nerwowe Europy. Identyczną taktykę zastosował wszak p. Hitler z takiem powodzeniem w Czechach. I dzisiaj marzy mu się nowe Monachjum. Ale gra odbywa się w trudniejszych warunkach, a pozatem przybył partner, który może nie dać się ani oszukać, ani pobić. Że metody hitlerowskiego szantażu można przewidywać aż do najdrobniejszych szczegółów, o ile zna się konkretnie warunki terenu, na którym mają być one zastosowane, najlepszym dowodem artykuł dr. Hermana Rauschninga w „Le Petit Parisien". B. prezydent Senatu Wolnego Miasta pisał na niewiele dni przed wypadkami w Kałdowie i Piekle:

„Pogromy mniejszości polskiej, zamachy na uprawnienia przyznane Polsce przez traktaty, na polskie składy amunicji na Westerplatte, na polskie prawa w porcie, na polską pocztę, **polskie urzędy celne** (p o d k r e ś l. m o j e, Z. J.), komisarjat Rzeczypospolitej i na Wysokiego Komisarza Ligi Narodów mają na celu wykazanie, że ludność Gdańska nie chce w dalszym ciągu tolerować suwerennych praw polskich w Wolnem Mieście. W tych warunkach **musi się polać krew,** (p o d k r e ś l. m o j e, Z. J.) — a to właśnie leży w intencjach hitlerowców".

Jakże szybko sprawdziły się te słowa.! I jakąż usługę oddaje Herman Rauschning światu i pokojowi, tak precyzyjnie demaskując nazistowską robotę! Jego głos, głos niemieckiego patrjoty i autorytetu w sprawach gdańskich jednocześnie, będzie wysłuchany najpoważniej i najszerzej. B. prezydent Senatu Wolnego Miasta przeprowadza teraz całą kampanję w prasie zachodnio - europejskiej. Kampanję, która odsłania istotne cele walki o Gdańsk i dalekie zamysły Hitlera. W ten sposób paraliżuje on nikczemną akcję różnych Astorów i Déatów, którzy propagują w społeczeństwach Zachodu powrót Wolnego Miasta do Rzeszy. Tak np. cytował Rauschning w „Journal dés Débats" niektóre swe rozmowy z Hitlerem, przeprowadzone krótko po podpisaniu układu niemiecko - polskiego. Z ówczesnych wynurzeń kanclerza Rzeszy wynikało jasno, że już wtedy traktował on porozumienie z Polską jako przejściowe posunięcie taktyczne, ułatwiające mu działanie na innym odcinku, i nie myślał o trwałej przyjaźni niemiecko - polskiej. Zdaniem Rauschninga (nie jest to dla nas rewelacja!), ani Gdańsk, ani połączenie lądowe z Prusami Wschodniemi nie są dla Hitlera rzeczywistemi problemami, szuka on tylko konfliktu z Polską, którybu mu umożliwił pozbawić ją wojskowego i politycznego znaczenia. Przyłączenie Gdańska do Niemiec — stwierdza Rauschning — jest dla Polski nie do przyjęcia, gdyż pociągnęłoby za sobą gwałtowną akcję Niemiec przeciw polskiemu dostępowi do morza. Ludność Gdańska nie życzy sobie wcale „Anschlussu", a choć pragnie pozostać niemiecką, chciałaby jednocześnie utrzymać szczerze przyjazne stosunki z Polską, zaś kwestja lądowego połączenia z Prusami Wschodniemi ani w części nie ma tego znaczenia dla Rzeszy, co dla Polski dostęp do morza...

Niesposób oprzeć się uczuciu podziwu dla odwagi Rauschninga. Autor rewelacyjnej antyhitlerowskiej książki p. t. „Die Revolution des Nihilismus" nie lęka się nie tylko słówka „renegat", którem chrzczą go brunatne Niemcy, ale także i wszędobylskich szponów Gestapo. Prowadzi swą walkę nieustępliwie, konsekwentnie, systematycznie. W tej chwili jest zapewne najbardziej przez hitlerowców znienawidzonym człowiekiem na świecie. Człowiek to bowiem, który odznacza się nie samą tylko rzetelnością w ujmowaniu zagadnień, ale i nieprzeciętną mądrością polityczną. Posłuchajmy jego **praktycznych** rozważań na temat możliwości interwencyjnych Polski w Gdańsku: „Polska ma prawo i obowiązek zgodnie ze statutem Gdańska w razie rozruchów, lub też niemożności opanowania przez władze miejskie sytuacji, interwenjować najpierw policyjnie, a następnie siłą zbrojną. Gdyby Polska nie postąpiła w ten sposób, to tem samem skapitulowałaby wobec terroru i zrezygnowałaby ze swych uprawnień.

Jeżeli Polska interwenjowałaby dla przywrócenia porządku, to da władzom gdańskim okazję do stawienia zbrojnego oporu przeciw „agresji polskiej". Niech tylko przez kilka godzin trwa opór przeciw polskim dywizjom, wkraczającym na terytorjum Wolnego Miasta i niech się leje krew, a wtenczas Polska znajdzie się w trudnej sytuacji, gdyż Gdańsk zademonstruje swą silną wolę niepodległości. Niemcy będą miały moralny pretekst do interwencji, usprawiedliwiający ją wobec całego świata. Nawet Francja i Anglja będą musiały wdać się w tę sprawę. **W zbałamuconej opinji publicznej zachodu nastąpi rozłam**" (p o d k r e ś l. m o j e, Z. J.).

Okazuje się więc, że jakkolwiek **ogólne** warunki doprowadzenia do nowego Monachjum są gorsze, niż ongiś, to **konkretna** sprawa gdańska właśnie specyficznie nadaje się do monachijskich rozstrzygnięć. Astorowie i Déatowie już uprzedzają przyszły rozwój wydarzeń i pracują „pour le roi de Prusse". Chamberlainowie i Bonnetowie ze swej strony w każdej mowie kładą nacisk na konieczność pokojowego rozwiązania wszelkich europejskich spraw spornych. Statutową interwencję Polski w Gdańsku panowie ci powitaliby napewno... niezbyt chętnie. Wszakże byłaby to interwencja zbrojna — aczkolwiek może ona właśnie, i tylko ona, zdoła w ostatniej chwili uratować pokój światowy. I Polska potrafi ten pokój ocalić — pod warunkiem, że nigdy nie znajdzie się w monachijskim przedpokoju.

Historja się powtarza, dekoracje się zmieniają. Oto 19 maja odbyło się pierwsze oficjalne potwierdzenie faktu, że papież stara się doprowadzić do konferencji głównych mocarstw europejskich. Potwierdzenie to znalazło się w komunikacie z posiedzenia komisji spraw zagranicznych senatu francuskiego. Komunikat zaznaczył, że prezydent komisji, senator Henry Beranger, zawiadomił komisję, iż 7 maja Watykan wysunął propozycję odbycia konferencji pięciu mocarstw: Francji, Niemiec, Anglji, Włoch i Polski. W przemówieniu swem sen. Beranger podał powody, dla których odbycie takiej konferencji byłoby **nie na czasie...** Tegoż samego dnia 19 maja papież przyjął na audjencji włoskiego ministra oświaty p. Bottai, który następnie przyjęty był także przez kardynała — sekretarza stanu Maglione. Jak informował korespondent „Kurjera Warszawskiego", audjencje te związane były z „pokojowo-medjacyjnemi" dążeniami Stolicy Apostolskiej. Pierwsza część odpowiedniej akcji w postaci daleko idących badań, dokonanych przez dyplomację watykańską w szeregu stolic europejskich, jest już ukończona. Min. Bottai informować miał papieża w sposób szczegółowy o tych problematach, które, zdaniem władców Włoch, muszą być rozwiązane, jeśli Europa pragnie uniknąć wojny. Punkt widzenia Mussoliniego przedstawiał Piusowi XII min. Bottai, a nie min. Ciano, co zdawałoby się wskazywać, że ani Watykan ani rząd włoski nie pragnęły nadać tej wizycie **zbytniego rozgłosu...**

A więc Watykan stačby się miał nowem Monachjum? Jeśli zważymy, że na tronie papieskim zasiada jeden z najwytrawniejszych dyplomatów europejskich, musimy widoki i ewentualne rezultaty inspirowanej przezeń konferencji ocenić jako... groźne realja. Nie pociesza nas zbytnio, że czwórka monachijska powiększona byłaby o przedstawiciela Polski. Zapewne, miejsce przy stole jest bardziej honorowe, niż miejsce w przedpokoju — ale to jeszcze nie wszystko. Chodziłoby o istotne równouprawnienie wszystkich członków konferencji, o co w towarzystwie tych, którzy już tak dawno powołali do życia „pakt czterech", nie jest bynajmniej łatwo. Chodziłoby o to, aby szlachetna czwórka z Monachjum naprzód wiedziała, że Polska nigdy nie zgodzi się wystąpić w roli **pozwanego.**

Zważmy, że blask papieskiej tjary mógłby być jednym z najważniejszych czynników, łamiących opór przeciw nowemu Monachjum. Zważmy, że różni pacyfiści spod ciemnej gwiazdy będą usiłowali, w odpowiedniej chwili rzucić na szalę cały autorytet Kościoła. Zważmy, że jeśli historja miałaby się powtórzyć, to potrzebne byłyby nowe i efektowniejsze dekoracje. Czujność mas bowiem, ich smak historyczny, wykształciły się ogromnie w ciągu ostatnich miesięcy. Potrzebne są bardziej radykalne środki usypiające. Careant consules! Jednym z najgoretszych życzeń Piusa XII jest niewątpliwie ułożenie modus vivendi **czterdziestu miljonów** katolików, zamieszkujących Rzeszę w jej dzisiejszych granicach. Czy kanclerz Hitler nie wyzyska właściwego momentu, aby zwrócić się do Watykanu z lakoniczną formułką: „do ut des", „daję i wymagam"? Jak takie postawienie kwestji zostanie przyjęte wśród najwyższych dostojników kościoła?

Nie posuwajmy się zbyt daleko w domysłach. Przyglądajmy się tylko bacznie faktom. I dzisiaj mówią one już bardzo wiele. A czasy są takie, że lepiej przesadzać w niedowierzaniu, niż w zaufaniu. Jak dobrze byłoby np., gdyby słowa kanclerza Hitlera o rzekomo upragnionym przez Gdańsk powrocie do Rzeszy zostały potraktowane na całym świecie z **należytem** niedowierzaniem! Bo wszakże fakty mówia przeciw nim! „Wolne" Miasto żyje pod terrorem nazistowskich bojówek, przysłanych doń z głębi Rzeszy. Nie ma ono możności przejawić zbyt otwarcie pragnień swych mieszkańców. A jednak pewne wiadomości o wewnętrznem życiu Gdańska przedostają się do Polski i zagranicę. Autor niniejszego artykułu nigdy nie zapomni opowiadania jednej ze znajomych pań, która przed kilku laty odwiedziła Gdańsk. Opowiadała ona, jak pewnej nocy została tam obudzona przeraźliwym krzykiem ludzkim. Zerwała się z łóżka, nie uprzytamniając sobie odrazu, gdzie się znajduje, przerażona do najwyższego stopnia, nie pojmująca, co się dzieje. Wreszcie trafiła do okna. Krzyk trwał. Ludzki — lub raczej nieludzki. To S. A. biła jakiegoś mężczyznę. Spokojnie, systematycznie, miarowo. Niedaleko stał policjant. Odwrócił się plecami i wkońcu podreptał nieco dalej.

Tak „ujednolicano" Gdańsk. Nie wiemy, czy rozwój stosunków w Wolnem Mieście potoczył się już tak daleko, że tarcia między Greiserem a Foersterem istotnie zostały zakończone pojedynkiem. Jest jednak prawdą, jak się wydaje, że zastępca „Führera" Hess odwiedzał Gdańsk dla przeprowadzenia pacyfikacji wierzchołków partyjnych. Za pewnik też chyba uważać należy, że Gdańszczanom nie spieszno do zamiany masła na armaty. Nie, Gdańsk nie chce wrócić do Rzeszy!

Oto co mówi odezwa, podpisana przez szereg osobistości, należących do najbardziej zasłużonych rodzin w Gdańsku, odezwa, którą otrzymał także i dr. Rauschning:

„W chwili, kiedy oczy całego świata zwrócone są na Wolne Miasto Gdańsk, ludność miejscowa nie może wypowiedzieć się i musi tolerować, iż jakiś pachołek niewiadomego pochodzenia śmie występować z deklaracjami w naszem imieniu i bez naszej zgody.

Z tego powodu niżej podpisani, reprezentując wszystkie partje polityczne Wolnego Miasta, widzą się zmuszeni do oświadczenia w imieniu olbrzymiej większości ludności Gdańska co następuje:

Z bólem odczuliśmy odłączenie Gdańska od macierzy. Jednak nie chcielibyśmy, ażeby Gdańsk miał powrócić do Rzeszy za cenę wojny i zniszczenia. Jesteśmy gotowi wykonać obowiązki, które na nas nakładają warunki geograficzne, a mianowicie zagwarantować narodowi polskiemu wolny dostęp do morza i podjąć się pośrednictwa między życiowemi interesami narodu polskiego i narodu niemieckiego pozostając Wolnem Miastem pod warunkiem, iż charakter niemiecki Wolnego Miasta w niczem nie zostanie naruszony w przyszłości. Dyktatura mniejszości odebrała Gdańskowi wbrew konstytucji możliwość wyrażenia swoich prawdziwych uczuć. Nie jest to chwila, aby szukać winnych tego stanu rzeczy poza terytorjum Gdańska. Zeszliśmy z drogi prawa i dlatego sytuacja obecna może być rozwiązana, jeżeli prawo zacznie ponownie obowiązywać. Nie widzimy rozwiązania sprawy Gdańska, czy też innych problemów prowadzących w Europie do wojny, jak tylko przywrócenie w Niemczech prawa. Niech pan przyczyni się nie tylko do tryumfu prawa w imię pokoju światowego. Niech pan pomoże również narodowi niemieckiemu decydować o własnym losie w atmosferze wolności i praworządności".

Wolne Miasto chce być naprawdę wolne! I dlatego Polska nie może w niem zrezygnować z najmniejszego swego prawa. I dlatego zadaniem polskiej dyplomacji wydaje się być podtrzymywanie uprawnień Ligi Narodów w Gdańsku. I dlatego Gdańsk nie może się stać przedmiotem targów na żadnej konferencji neo-monachijskiej. Zadania, jakie Polskę czekają, są trudne? Tak, ale czasy rewolucyjnych przemian mapy Europy wymagają „odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi".

MIECZYSŁAW LEWIŃSKI

JESZCZE O KULTURZE PROLETARJATU

Kazimierz Frankowski w swej recenzji o książce dr. F. Grossa „Proletarjat i kultura“ („Sygnały“, nr. 68), daje pewne sformułowania na temat kultury, a zwłaszcza literatury proletarjackiej, zresztą idące po linji rozumowania samego Grossa; ze stanowiska marxistowskiego zarówno książka, jak i recenzja budzą pewne zastrzeżenia. Autor książki i jej sprawozdawca odrzucają, naogół trafnie wypowiedzianą marxistowską definicję literatury proletarjackiej przez Ign. Fika: „przez literaturę proletarjacką można rozumieć wyłącznie i jedynie literaturę, która współpracuje świadomie i celowo w realizowaniu wysuniętych przez proletarjat zadań“.

Albowiem według recenzenta z faktu, „że jakiś pisarz hołduje marxizmowi nie można wyciągnąć wniosku, że jest pisarzem pro letarjackim“.

Nie można się zgodzić z takiem twierdzeniem! Inteligencja nie stanowi jakiejś oddzielnej klasy. W ustroju kapitalistycznym znaczna część inteligencji to tylko odłam klasy pracującej, proletarjatu, często nieuświadomiony klasowo wprawdzie, lecz objektywnie znajdujący się w stosunku do procesu produkcji w takiem samem położeniu wyzysku, co i robotnicy. Kwestja mniejszego czy większego uświadomienia klasowego nie wchodzi tu w rachubę.

Nieuświadomiony klasowo robociarz (iluż ich jest jeszcze!), nie przestaje być w znaczeniu polityczno-społecznem proletarjuszem, dopóki świadomie nie działa, przekupiony przez burżuazję, na niekorzyść klasy robotniczej. Tak samo i inteligent. Niemały procent inteligencji, tak jak czasem i arystokracji robotniczej, stoi przeciw klasie robotniczej po stronie klas posiadających, gdyż te umieją dopuścić go do udziału w zyskach, odstępując mu część, wyciągniętej z procesu produkcji, nadwartości.

Zawsze jednak był i jest drugi odłam inteligencji, który świadomie staje w walce klasowej po stronie własnej klasy, po stronie proletarjatu. A więc inteligent, czyli robociarz umysłowy, choćby i literat w konkretnym przypadku, który stoi w szeregach walki klasowej na swym odcinku po stronie proletarjatu, może i musi być zaliczony do obozu proletarjackiego — robociarz czystej krwi, który jednak świadomie pełni dla korzyści własnej funkcję sługusa burżuazji, choćby nawet udatnie pisał o swem środowisku robotniczem, lecz w duchu reakcyjnym na korzyść ustroju kapitalistycznego, zaliczony być musi do obozu burżuazyjnego, a przynajmniej w żadnej mierze na miano pisarza robotniczego zasłużyć nie może. A tak wypadałoby według wywodów autora książki i jej recenzenta!

Kryterium walki klasowej w ustroju kapitalistycznym jest zasadniczym miernikiem także i kultury proletarjackiej czy burżuazyjnej. Szkoda jednak, iż o tem pewni socjaliści nie pamiętają lub nie chcą pamiętać, za co też spotykają ich wielkie pochwały ze strony klas posiadających (ciepłe recenzje w całej prawie prasie reakcyjnej o książce Grossa).

Czyż literaturę burżuazyjną (literaturę, która podtrzymuje kapitalistyczny porządek świata) tworzą sami kapitaliści? Nie! tworzą ją nie czystej krwi kapitaliści, lecz inteligenci-literaci, opłacani przez nich. Literatura ta jednak nie przestaje być klasowa i żadnemu kapitaliście nie przyjdzie do głowy wypierać się jej lub nie uznać ją za swoją. Dlaczegóż obóz proletarjacki miałby się wyrzekać pisarzy, którzy stają po jego stronie?

Frankowski powiada, że literatura proletarjacka może zakwitnąć dopiero po zwycięstwie proletarjatu. To samo twierdzi o całej kulturze proletarjackiej, zgruntu fałszywie, dr. Gross. Ależ po zwycięstwie proletarjatu historja stawia całkiem inny problem: budowy kultury i literatury społeczeństwa bezklasowego — społeczeństwa socjalistycznego. Wtedy niema już, poza okresem przejściowym likwidacji ideologji burżuazyjnej i walki z jej pozostałościami, zagadnienia walki proletarjatu z klasami posiadającemi w takiej skali, jak przed zwycięstwem klasy robotniczej. Jest zato problem pozytywnego marszu do socjalizmu i jego nowej, bynajmniej nie na wewnętrznej walce opartej kultury. Natomiast właśnie w ustroju kapitalistycznym, i tylko w nim w sposób klasyczny, istnieje problem walki klasowej, ekonomicznej i ideologicznej, a więc kulturalnej. Tu właśnie musi być miejsce i na literaturę burżuazyjną i proletarjacką. Tu istnieje problem oddziaływania ideologji klas posiadających na klasy uciskane oraz problem stopniowego i żmudnego, częściowego przynajmniej wyzwalania się proletarjatu nie tylko spod ucisku ekonomicznego, ale i ideologicznego. To ostatnie właśnie — to pojęcie kultury proletarjackiej, a z nią i literatury proletarjackiej. I o ile walka ekonomiczna może być prowadzona czasem wyłącznie siłami samych pracowników fizycznych, to wyzwalanie się ideologiczne i walka intelektualna mogą dokonać się tylko przy pomocy tych inteligenckich pracowników kultury, którzy jak to już stale podkreślał Marx dojrzeli ideologicznie do teoretycznego poznania mechanizmu ustroju kapitalistycznego i zdobyli uświadomienie klasowe. Oni stają wtedy w szranki walki klasowej i często pełnią rolę przywódców w tej walce. Ale aby takie pojęcia przyjąć w naukowej analizie procesu kulturalnego w ustroju kapitalistycznym, trzeba jako kryterjum analizy przyjąć zasadę uczciwej i szczerej walki klasowej oraz jej dobra. Wtedy nie trzeba rzucać pod adresem klasy robotniczej, jak to czyni dr. Gross, „epokowych“ stwierdzeń, jakoby kultura proletarjacka była tylko kiepskiem naśladownictwem kultury mieszczańskiej. Trzeba umieć dojrzeć robotnika nie w kwietystycznem życiu pewnych środowisk, wychowanych w ideologji narkotyzowania ich w walce klasowej, ale zajrzeć do więzień, obozów koncentracyjnych, do tych przejawów życia robotniczego, gdzie wykuwa się w codziennym trudzie walki klasowej nienawiść nie do firanek, kap i czystego kołnierzyka, ale do niesprawiedliwości, wyzysku i obłudy!

Trzeba zaliczyć do tej kultury proletarjackiej nie tylko te zadatki nowej kultury socjalistycznej, jakie wyrabia w sobie przy swym warsztacie pracy robotnik w postaci koleżeństwa i bohaterstwa pracy, uczciwości i solidarności klasowej czy międzynarodowej, ale także i te przejawy wolnej i dumnej myśli ludzkiej, na jakie się zdobywa zawsze pewien procent pracowników nauki, sztuki, którzy czują się solidarni z klasą robotniczą, którzy kochają postęp i socjalizm. Lecz często im to właśnie odmawia się prawa do proletarjackości, aby odciąć ich od proletarjatu, by nie pogłębił on teoretycznie taktyki swej walki klasowej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że czynią to często ci inteligenci, którzy uzyskawszy pewien monopol na przywództwo masy proletarjackiej, stępili z takich czy innych względów oręż walki klasowej, uzyskawszy „teoretyczną“ podbudowę pod swój oportunizm w postaci takich wsławionych reformizmem lub wprost zdradą klasy robotniczej i demokracji teoretyków, jak Cole i De Man, mających za sobą takie „bohaterskie“ czyny w walce klasowej, jak np. uznanie gen. Franco i prześladowanie w Belgji ochotników republikańskiej armji.

Dr. Gross od tych teoretyków socjalizmu zaczerpnął także to i owo, jak sam się przyznaje: „w ostatnich latach kilku teoretyków socjalizmu starało się wyjaśnić w sposób oryginalny wspomniane zjawiska. Wymienię De Mana i Cole‘a“. Rzeczywiście, „oryginalności“ twierdzeń Grossa z punktu widzenia marxowskiego nikt nie zaprzeczy. Gross entuzjazmuje się np.: „W sposób oryginalny stawia to zagadnienie De Man — uważa on inteligencję za odrębną klasę władczą i kierującą... inteligent — mówi De Man — może łatwo zmienić swe zajęcie... zamiast pisać rozprawę, może robić interesy — robotnik gdyby zamiast bułek zaczął wyrabiać figurki — wyrzuconoby go“.

Naiwność tego twierdzenia i jego nieprawdziwość aż bije w oczy. Iluż znamy niedołęgów inteligenckich, którzy momentalnie dziś zginęliby gdyby ich wyrzucono zza ich biurka urzędniczego, iluż zaś dzielnych bezrobotnych robociarzy, którzy trzymają się na fali życia chwytając się tego i innego zawodu. Nazwanie inteligencji samodzielną klasą jest również socjologicznym nonsensem: wszak klasa to pojęcie zespołu ludzi związanych z sobą nie wykształceniem lecz analogiczną pozycją w procesie produkcji. Naturalnie, że takie twierdzenie jest na rękę czynnikom reakcji, które za wszelką cenę chcą opóźnić bynajmniej niełatwy proces uświadomienia klasowego inteligencji oraz poróżnić ze sobą pracownika umysłowego i fizycznego. Ale co ma z tem wspólnego socjalizm oraz kultura proletarjatu? Nie dziwimy się więc już gdy dr. Gross biada, że „nienawiść“ to motor walki klasowej, że „mit społeczny Polski ludowej fascynuje masy“, że poczciwa mieszczańska rodzina ustroju kapitalistycznego oraz jego wielka podpora,rozkładają się i że — tu posuwa się zresztą do obrazy klasy robotniczej — „nienawiść całej rodziny do ojca w naszych stosunkach jest aż nazbyt często spotykana — maltretowanie żony i dzieci, pod wpływem alkoholu — są zdarzeniami codziennego życia proletarjatu“.

To co wypływa z istoty niewoli klasy robotniczej w ustroju kapitalistycznym, to właśnie uważa Gross za istotę „kultury“ proletarjatu. Nie pamięta że to nie psychologja „ojca“ robotniczej rodziny lecz mechanika niesprawiedliwego ustroju stwarza tu i tam taki stan rodzinny. Nie widzi jako istotnej dla proletarjusza cechy jego rozpaczliwej walki o utrzymanie rodziny. Nie widzi jego walki o polepszenie doli proletarjackiego dziecka, nie uznaje pionierskiej walki socjalizmu o rozwiązanie kwestji kobiecej. Nie docenia faktu, iż bity przez życie człowiek z konieczności na terenie rodzinnym często podświadomie „odbija“ sobie swą klęskę życiową, zwłaszcza wtedy gdy jego energja proletarjacka nie zostaje naskutek działania siewców fałszywej „kultury proletarjatu“ zużyta bez reszty na konsekwentną walkę klasową.

Ale trudno wymagać zrozumienia dla tych spraw u kogoś, kto twierdzi że dzisiejsza rodzina kapitalistyczna to „naturalny twór społeczny“.

Z takiego pominięcia zasadniczych podstaw marxowskiego rozumienia sprawy, wynika ujęcie zagadnienia kultury proletarjatu jako kombinacji folkloru przedmieścia, soczystego języka, pijackiej piosenki, mody i na okrasę — „mitu“ społecznego. Przyznać należy, że gdyby przyszłość proletarjatu i jego kultury miała tak być pojmowana w teorji i praktyce,wszelki postęp społeczny ku socjalizmowi stałby się rzeczywiście... mitem.

Autor zresztą w swej pracy nie dał żadnej syntezy zagadnienia. Gdzież n. p. problem robotniczego teatru, samokształcenia, pieśni, sapomocy i t.p. Gdzież analiza zagadnienia dostępu proletarjackiego dziecka do drabiny szkolnej a robotnika do dóbr kulturalnych i właściwa statystyka?

Te wnioski które daje autor, opierając się na skąpym materjale i doświadczeniach z jednego ciasnego podwórka, nie mają większej łączności z uwzględnianym przez niego materjałem statystycznym. Materjały do pierwszego tomu zostały zresztą poddane, jak przyznaje dr. Gross, odpowiedniej cenzurze i selekcji.

Książka Grossa może być tylko charakterystycznym przyczynkiem do dyskusji nad zagadnieniem kultury proletarjatu, ale ani ona ani tezy w niej zawarte nie mogą rościć pretensji, do zgodnego z interesami proletarjatu, ujęcia całokształtu zagadnienia.

Nie bez kozery przecież pisał o omawianej pracy w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym“ z dnia 19. grudnia 1938, czołowy publicysta polskiej reakcji, Ksawery Pruszyński: „Książka młodego socjalisty krakowskiego Grossa zasługuje na bardzo zaszczytne porównanie z magistralnemi pracami dwóch socjalistów zachodu, De Manna i H. Cole‘a, którzy w dwóch potężnych dziełach zajęli się uprzejmem odbronzowieniem Marxa... dla obu wielkich teoretyków nie ulega wątpliwości, że właściwie Marx przeżył się i wypaczył ...praca socjalisty i naukowca, jakim jest socjolog dr. Gross, jest polskim odpowiednikiem tego, co dla socjalizmu zachodnio-europejskiego dokonał ów Belg i Anglik... podział społeczny jest tu przeprowadzony wbrew zasadom Marxa o kapitale i pracy“.

Na zakończenie kilka uwag jeszcze o pierwszym tomie i właściwem źródle pracy „Proletarjat i kultura“ — o pamiętnikach „Robotnicy piszą“.

Jak słusznie pisze w swej recenzji Frankowski („Sygnały“, nr. 69) jest to nader pożyteczne i potrzebne wydawnictwo, pouczające i w swoim rodzaju pionierskie.

Należy jednak i tu pod adresem, nie robotników piszących pamiętniki, ale redaktorów wydawnictwa, wyrazić pewne zastrzeżenia. W samej budowie ankiety, jej selekcji oraz przeróbce (str. 11: „...wprowadziliśmy zupełnie nowy sposób korektury ankiety“...) zdają się dosyć wyraźnie kryć pewne założenia antycypujące właśnie niektóre wnioski drugiego tomu. „Korektura“ ankiety odbywała się częściowo na t. zw. seminarjach socjologicznych T. U. R. w Krakowie. Dr. Gross przyznaje, że, „uczniowie nasi poruszali nieraz trudne problemy życia robotniczego... problemy te starannie oddzielane przez nas (t. j. prof. Mysłakowskiego i dr. Grossa) od zagadnień aktualnej taktyki i bieżących zagadnień politycznych, stawały się“... Pamiętniki są zatem okaleczone. To samo odsunięcie się od aktualnych problemów bieżącego życia politycznego i ruchu robotniczego, cechuje i same pytania ankiety, mimo że zawiera ona pytania o stosunku robotnika do takich „aktualnych“ zagadnień jego życia jak wódka i stosunek do dziewczyn. Zagadnienia bieżącego życia polityczno-społecznego nie mniejszy chyba mają związek z zagadnieniem samokształcenia proletarjatu (a więc i jego uświadomienia klasowego) jak alkohol lub stosunki płciowe. A już zupełnie obce jest takie oddzielanie zagadnień praktyki politycznej od teorji socjologji marxistowskiej. Jest ono natomiast przywilejem psychologji socjalizmu De Mana oraz socjologji mieszczańskiej.

Klasycznym przykładem takiego niefortunnie ostrożnego i fałszywego ustosunkowania się do tematu jest sprawa religji. Zagadnienia to przecież nader istotne i typowe dla naszego ustroju i ciążenia ideologicznej nadbudowy kapitalizmu nad samokształceniowo - oświatowym ruchem proletarjatu. Wyczuwa się to wyraźnie nawet wśród spontanicznych wypowiedzi robotniczych w pamiętnikach („ale przecież autorzy pamiętników wbrew naszej woli sprawy te poruszyli. Zupełne wykreślenie wypowiedzeń się byłoby fałszowaniem dokumentów...“ — czyli, że zastosowano tu tylko częściowe skreślenia!).

Ale jakże ujmują to zagadnienie autorzy ankiety? Oto poprostu je pomijają; czytamy we wstępie: „W pytaniach naszej ankiety nie poruszaliśmy spraw religijnych ani klerykalnych, kierowaliśmy się przytem tem, że... sprawy te stanowią prywatną własność każdego człowieka, której naruszać nie chcemy. Rozumiemy dobrze i oceniamy religijność i potrzeby religijne mas i jednostek“. Pomijając już to, iż takie stanowisko wobec problemu religji nic nie ma wspólnego nie tylko z marxistowskiem ale wogóle z socjologicznem ujęciem sprawy, jest to za daleko już posunięta kurtuazja czy nieśmiałość wobec największej może bolączki naszego życia kulturalnego — wobec klerykalizmu.

Aby zresztą usprawiedliwić się niejako przed reakcją i za te niewinne antyklerykalne refleksje jakie musieli zamieścić dla przyzwoitości wobec spontanicznych wypowiedzi autorów robotniczych na tematy religijne, uspokaja dr. Gross wraz z prof. Mysłakowskim: „Zresztą w tym względzie czytelnik nie znajdzie jakichś specjalnych skrajności. Krytycyzm przejawia się w stosunku do kleru nie do religji. A zjawiska te ciekawe dla naukowców, z natury rzeczy zainteresować mogą duchowieństwo, które właśnie z tych opinij ludzi prostych może wyciągnąć pewne wnioski, zalecić postępowanie, by ono zgodne było z potrzebami i tęsknotami mas“.

Dochodzimy więc do nieoczekiwanego a efektownego wniosku: „Pamiętniki robotników“ służyć mogą miejscami duchowieństwu jako podręcznik klerykalizowania mistycznie stęsknionych mas robotniczych!

WIERSZE WEINTRAUBA

Jerzy Kamil Weintraub. Wrogi czas. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 39 i 1 nl.

Druga z rzędu książka Weintrauba jest pozycją bardziej dojrzałą i męską, niż „Próba powrotu“: jego tom debjutowy, jednakże rozszerza zarazem i wyjaskrawia, a więc — konkretyzuje wady, dewjacje i niewłaściwości, które poprzednio można było podciągnąć pod rubrykę niebezpieczeństw, zagrażających debjutantowi. Razi tedy przedewszystkiem popisowy patos, będący niczem innem, jak tylko retoryką dowolnej tragiczności jako poetycznej postawy, pozbawionej tragizmu sytuacyjnego: jest to niejednokrotne rozdzieranie szat nad poetyckiemi truizmami własnej napuszoności. Patos, by nie brzmieć fałszywie, musi przecież rozporządzać oryginalnie wyznawczym systemem odwoływania się do momentów metafizycznych, patos tragizujący musi nadto mieć uzasadnienie sytuacyjne, nieomal fabularne: inaczej nie wywoła w czytelniku poczucia prawdopodobieństwa emocjonalnego, a skoro nie wzruszy go nawet „po ludzku“, tem bardziej nie wzruszy estetycznie. (Rzecz oczywista, że w tego rodzaju rozważaniach należy bezwzględnie poprzestawać na samym tekście literackim, jako materjale faktograficznym).

Wszelako sprawa, którą poruszyliśmy powyżej, jest diagnozą dla pewnej tylko części nowej książki Weintrauba. Znakomita reszta — to Weintraub przekonywający marzyciel podróży, autor ładnej i dynamicznej „Ballady o Argonautach“, wreszcie liryk romantyzmu — by tak rzec — „heidelberskiego“, zadomowionego w przymglonych i smętnych krajobrazach animizujących nastroje, w sublimowanej zaściankowości białych domków i winogradów, gdy wszystko przesycone jest emocjonalną siłą dawności. Sporo w tem Napierskiego: maga i alchemika nastrojów romantyzmu retrospektywnej imaginacji na tematy sielskie i pseudoklasyczne, zagubione w księgach jako wzorodawcze hipostazy kulturalne; sporo pozatem Eichendorffa i Storma, tylko że bez ich kunsztownej prymitywności (prymityw jest już oddawna w środowiskach oświeconych nie t. zw. prostotą, lecz oddzielnym gatunkiem literackim, wymagającym odrębnej umiejętności) przy powinowactwie tonu. I tędy — jak się zdaje — powinna prowadzić dalsza droga poetycka Weintrauba: poprzez odrzucenie chwiejnie podbudowanego patosu ku kameralizacji licznych, świadczących o tem, że mamy do czynienia z niewątpliwym poetą, odruchów lirycznych, które mieszczą się w ramach dopieroco scharakteryzowanych wątków tematowych i pokrewieństw kulturalnych.

Adolf Sowiński

* * *

W poprzednim (69) numerze „Sygnałów“ z dnia 15 maja: **Zygmunt Jarosz:** Czy Mr. Chamberlain jest genjalny. — **Ignacy Fik:** Mitologja mitu. — **Jerzy Karolczak:** Sprawa chłopska w powstaniu listopadowem. — **Halina Górska:** W robotniczym uniwersytecie. — **Stefan Tudor:** O spotkaniach z książkami. — **J. Krajewski:** W kartach niema etyki (rys). — **Kazimierz Frankowski:** Robotnicy piszą. — **Antoni Pokorski:** Społeczne oblicze szkolnictwa w Polsce. — **R. Skulski:** Wsparcie napadniętego. — **Jerzy Putrament:** Wśród nowych powieści. — **T. N. Hudes:** Wystawa Cêzanne‘a w Paryżu. — **Kazimierz Brandys:** Fałszywa rewolucja. — **R. Skulski:** „Zwycięstwo“ Michała Anioła unowocześnione (rys.). — Wśród czasopism. — Kronika ilustrowana. — **Andrzej Rawen:** Sztuka życia. — **K. Baraniecki:** Grabarze. Kolonje mówią (rys.). — Korespondencja **(Marjan Pszczółkowski).** — Kronika. — Oblicze dnia.

CZESŁAW ST. SOBCZYK

Spółdzielczość spożywców w Polsce

Ruch spółdzielczy spożywców, odgrywający dziś poważną rolę w życiu społecznem i gospodarczem Polski, ma za sobą już wiele lat pracy. Pierwsza w Polsce spółdzielnia spożywców pod nazwą „Merkury" powstała w r. 1869 w Warszawie. Upłynęło więc ćwierć wieku, zanim spółdzielczość spożywców zapoczątkowana przez tkaczy w Rochdale (r. 1844) przedostała się na grunt polski. I w tym właśnie czasie, kiedy u nas stawiano pierwsze kroki, ruch spółdzielczy angielski liczył już 748 spółdzielni, skupiających 248 tys. członków. Sama spółdzielnia rochdale'ska posiadała w r. 1865 już 5326 członków i przeszło 2 milj. zł. kapitału udziałowego.

W rok później powstała w Płocku „Zgoda", w kilka lat potem w Dąbrowie Górniczej „Nadzieja". Dalsza akcja zakładania spółdzielni szła bardzo słabo. Główną przyczyną tego stanu było zbyt małe wyrobienie ówczesnych mas proletarjackich, wielkie trudności uzyskania u rządu carskiego zezwolenia na założenie spółdzielni i całkowite skrępowanie działalności społecznej, paraliżowały każdą, bardziej śmiałą akcję. Wszystkie te stowarzyszenia zakładane były głównie przez inteligencję, nie mającą do pracy tej przygotowania i głębszego nurtu ideowego. Nic dziwnego więc, że żywot tych spółdzielni był suchotniczy i niekiedy bardzo krótki. Z 42 powstałych wówczas spółdzielni w ciągu kilku lat zostało zaledwie 6.

Na terenie innych zaborów spółdzielczość spożywców w tym czasie nie mogła się jeszcze rozwijać, gdyż brak tam było wyrobionego elementu robotniczego a wieś tkwiła w całkowitem uśpieniu.

Przełomową chwilą dla rozwoju polskiej spółdzielczości spożywców, jak powiada St. Thugutt — był rok 1906. Po przegranej wojnie Rosji z Japonją i ostatecznem stłumieniu rewolucji, wprawdzie rząd carski cofnął wszelkie nadane w czasie popłochu prawa wolnościowe, jednak to, co pozostało, pozwoliło ruchowi spółdzielczemu rozszerzać dalej inicjatywę. Okres ten dodatnio wpłynął na późniejszy bieg wydarzeń. Obudziła się energja szerokich mas robotniczych, zmieniona nieco sytuacja polityczna pozwoliła powrócić do kraju niektórym działaczom politycznym, którzy dotychczas brali czynny udział w robocie spiskowej. Wówczas to wystąpiła naprzód sprawa budowania Polski oddołu. Nie zaniedbując walki politycznej, zaczęto kłaść podwaliny pod rozwój gospodarczy. W pracy tej na pierwsze miejsce wysunęli się: Edward Abramowski, Romuald Mielczarski i Stanisław Wojciechowski.

Pierwszy z nich był wybitnym teoretykiem ruchu. Pisał wówczas wiele artykułów i broszur propagandowych. Z tego też okresu pochodzą jego najpiękniejsze prace z dziedziny spółdzielczości; „Idee społeczne kooperatyzmu" i „Kooperatywa jako sprawa wyzwolenia ludu pracującego". Z inicjatywy Abramowskiego powstaje w r. 1906 w Warszawie Towarzystwo Kooperatystów, rozwijające swoją działalność propagandową po dziś dzień. W wydanej wówczas odezwie Abramowski pisał: „Pierwszym krokiem na drodze politycznego odrodzenia jest wytworzenie samodzielnej kultury narodu, opartej na samopomocy i zrzeszeniach, przemiana sproszkowanego życia ludzi na życie zorganizowane, bijące potężnem tętnem w rozmaitych kooperatywach, spółkach i związkach, przemiana typu niewolniczego na typ demokratyczny"...

Mielczarski i Wojciechowski obok mocnej postawy ideowej wnieśli do ruchu spółdzielczego gruntowną wiedzę handlową i organizacyjną. Teraz właśnie zaczęła się wytężona praca nad organizowaniem życia gospodarczego i społecznego.

O celach spółdzielczości mówiła odezwa Towarzystwa Kooperatystów; w niej czytamy: „Towarzystwo zapatruje się na kooperatyzm z trojakiego punktu widzenia: 1. jako na szkołę wychowawczą ludzi pod względem politycznym i społecznym, w której wyrobić się mogą istotne podstawy demokracji: uzdolnienie do samorządu i do zbiorowego załatwiania spraw swoich, uzdolnienie wyzwalające naród spod opieki biurokratyczno-rządowej; 2. jako na instytucje społeczne, zdolne podnieść dobrobyt materjalny i kulturę umysłową ludu; 3. jako na przejście do wyższego ustroju ekonomicznego, opartego na zasadach spójności i sprawiedliwości społecznej". Myśli te były później niejednokrotnie wyjaśniane w wydawanem przez Towarzystwo piśmie „Społem". W jednym z pierwszych numerów „Społem" czytamy: „My, kooperatyści, nie obiecujemy, że stowarzyszenia spółdzielcze odrazu naprawią wszystko zło na świecie, bo na to wielu lat potrzeba, ale też z całą pewnością silnego przekonania twierdzimy, że są one nieodzownym warunkiem urzeczywistnienia się lepszego ustroju gospodarczego, na sprawiedliwej wymianie usług opartego, w który wierzymy tak, jak w to, że ziarnko nasienne jest zarodkiem olbrzymiego drzewa".

Ówczesne Towarzystwo Kooperatystów zajmowało się nie tylko sprawą ideologji i wychowania ale wydatnie pracowano także nad organizacją zakupów hurtowych i związku rewizyjnego. Pierwsze jednak kroki nie udały się. Założona w r. 1906 ajentura zakupów dla stowarzyszeń spożywców działała zaledwie rok i upadła. W dwa lata później postanowiono zwołać większy ogólno - krajowy zjazd spółdzielczy. W zjeździe tym wzięło udział 423 delegatów, reprezentujących 248 spółdzielni. Stwierdzono wówczas, że na terenie Królestwa istnieje 670 spółdzielni, zorganizowanych przeważnie w ciągu ostatnich czterech lat. Teraz przy Towarzystwie założono biuro informacyjne, które oprócz działalności instrukcyjno - propagandowej, zajmowało się komisową sprzedażą artykułów, potrzebnych spółdzielniom. Jednocześnie wniesiono podanie o zezwolenie na założenie związku. Zezwolenie takie uzyskano dopiero w r. 1911 i powołano wówczas do życia „Warszawski Związek Stowarzyszeń Spożywczych".

Tak zdrowo rozwijający się ruch spółdzielczy podcięła wkrótce zawierucha wojenna. Wielka ilość spółdzielni upadła lub też została doszczętnie zrujnowana. Utrudniona komunikacja, brak towaru, nie pozwalały normalnie pracować.

Inne czasy nastały dopiero z chwilą zakończenia wojny. W dniu 1 listopada 1918 r. rozpoczęły się w Warszawie obrady ogólnokrajowego zjazdu stowarzyszeń spożywców, celem ustalenia zadań, jakie czekać będą ruch spółdzielczy po odzyskaniu niepodległości. „Wraz z końcem wojny otworzą się rozległe pola pracy dla samodzielnej gospodarki ludowej — stwierdzała odezwa związku — i najwyższy czas już teraz poczynić niezbędne do tego przygotowania, skupić i wzmocnić nasze szeregi oraz wytknąć prace, które dziś wykonać trzeba, nie czekając ostatnich chwil wojny".

Zakres obrad, trwających cztery dni był bardzo szeroki. Prócz sprawy aprowizacji, bardzo ważnej wówczas, uczestnicy zjazdu zastanawiali się mocno nad strukturą organizacyjną ruchu i wypracowaniem podstaw prawnych. Bardzo ważnym momentem było sformułowanie i przyjęcie deklaracji ideowej.

Treść tej deklaracji brzmiała: „Zjazd uznaje, że podstawową zasadą gospodarczą spółdzielczości jest uspołecznienie środków produkcji i wymiany w myśl interesów pracy. W myśl tego stowarzyszenia spożywców na wszystkich polach swej działalności powinny wypierać kapitalistyczny system gospodarki, mający na celu nie potrzeby spożywców, lecz zyski płynące z posiadania kapitału.

Stwierdzając spółrzędność ruchu spółdzielczego z ruchem zawodowym i politycznym, zmierzającym również do wyzwolenia pracy, zjazd żąda jednak zupełnej niezależności stowarzyszeń spożywców od partyj".

Rozpoczął się teraz okres nowej pracy. Trudności były jednak na każdym kroku. Ciężką walkę musiał związek staczać ze spekulacją, która w latach wojny i okresu powojennego bardzo się rozpanoszyła. Wprawdzie rząd zaczął temu przeciwdziałać, ustanawiając kontyngenty, niemniej jednak nie uzdrowiło to sytuacji. W ruchu spółdzielczym stan ten doprowadził do wielkiego zachwaszczenia. Spółdzielnie otrzymujące kontyngenty cieszyły się nagół dużem powodzeniem, lecz nie przedstawiały większej wartości społeczno-gospodarczej. Przeważali tam w dużej mierze członkowie „kaszowi" i „cukrowi", którym zależało na dostaniu tych czy innych towarów i dlatego należeli do spółdzielni. Rezultat tej pracy był taki; kiedy w r. 1918 Związek zrzeszał 462 spółdzielnie z 69.000 członków, to w r. 1919 liczba ich wzrosła do 700 i 181.000 członków, a rok 1920 dał już 1058 spółdzielni i 347.000 członków. Od r. 1922 zaczął się odwrót, liczba spółdzielni spadła do 762. Przyczyniła się do tego w dużej mierze dewaluacja.

Cały jednak ruch spółdzielczy stale rósł i wydawał coraz lepsze rezultaty. W r. 1925 doszło też do uwieńczenia pracy pierwszych pionierów spółdzielczych — nastąpiło zjednoczenie trzech związków spółdzielni spożywców w jeden wielki Związek Spółdzielni Spożywców Rzeczypospolitej Polskiej. Do połączenia przystąpiły: Związek Polskich Stowarzyszeń Spożywców z 645 spółdzielniami, Związek Robotniczych Spółdzielni Spożywców z 110 spółdz. i Zespół Spółdzielni Pracowników Państwowych, Komunalnych i Społecznych. To dało podstawę do ujednolicenia ruchu, nadaniu mu prężności i stale rosnącej siły gospodarczej i społecznej.

Chcąc teraz należycie osądzić tę działalność, należy zapoznać się z obecnym stanem ruchu spółdzielczości spożywców.

Skupia się on w „Społem"-Związku Spółdzielni Spożywców R. P., będącym zarówno organizacją ideową jak i centralą gospodarczą. Pozatem jest on także związkiem rewizyjnym w rozumieniu ustawy o spółdzielniach. Zadaniem Związku jest: 1. jednoczenie spółdzielni spożywców i udoskonalanie ich działalności. 2. dostarczenie spółdzielniom spożywców towarów, wchodzących w zakres ich operacji, po cenach hurtowych oraz zapewnienie im różnych udogodnień, opartych na wspólnej ich działalności. Wszystkie prace w zakresie instrukcyjnym i lustracyjnym Związek wykonywa przez wydział lustracyjny i społeczno wychowawczy, który prowadzi pozatem akcję szkolenia zawodowego, rozwija propagandę oraz podejmuje działalność wydawniczą. Działalność gospodarcza Związku „Społem" wyraża się w prowadzeniu hurtowni, która obejmuje agendy handlowe, zakłady wytwórcze oraz dział ubezpieczeń majątkowych.

Poza związkiem, jako instytucją macierzystą, działają jeszcze organizacje powołane do zadań specjalnych: Bank Spółdzielczy „Społem", będący centralą finansową spółdzielczości spożywców, Liga Kooperatystek w Polsce, Gimnazjum Spółdzielcze i Liceum im. R. Mielczarskiego oraz Szkoła Przysposobienia Spółdzielczego.

Rozrost spółdzielczości w ostatnich trzech latach kształtował się następująco:

Założono spółdzielni:	r. 1936	r. 1937	r. 1938
spożywców	248	289	278
zakupu i zbytu	112	342	235
mleczarskich	114	85	108
wytwórców i pracy	59	71	90
kredytowych	70	122	103
różnych	97	116	147

Rok 1938 w ruchu spółdzielczym wykazał pewne osłabienie w przyroście nowych spółdzielni. Objaw ten tłumaczyć można w pierwszym rzędzie ożywieniem życia politycznego w końcu ub. r., które pociągnęło w dużym stopniu elementy społeczne, biorące czynny udział w akcji organizacyjnej.

Ruch założycielski spółdzielczości objął w ciągu lat 1935—38, 158 powiatów na ogólną liczbę 242.

Spośród wszystkich województw największą dynamikę rozwojową wykazuje woj. Lwowskie (zachodnie powiaty).

Obroty spółdzielni i Związku w ciągu ostatnich dziesięciu lat kształtowały się następująco:

	Obroty w milj zł.	
Rok	Związku (hurtowni)	Spółdzielni
1928	90	158
1929	90	170
1930	91	165
1931	82	145
1932	74	119
1933	69	97
1934	71	104
1935	72	107
1936	78	118
1937	90	143
1938	98	170

Nastąpiło więc pewnego rodzaju wyrównanie poziomu z lat przedkryzysowych.

1 stycznia 1939 związek „Społem" zrzeszał 1776 spółdzielni spożywców oraz 100 innych spółdzielni. W ciągu roku przyjęto do związku 410 spółdz. Spośród powstałych w 1938 r. 278 spółdzielni spożywców 236 zostało założonych na terenie wiejskim, 16 w osadach robotniczych, 14 w miasteczkach i 12 w miastach. Ogółem spółdzielczość spożywców zrzesza blisko 400 tys. ludzi.

Skład procentowy członków spółdzielni wynosi: 44% rolników, 31% robotników, 16% urzędników, 9% różnych zawodów. Przewaga rolników występuje w 74% spółdzieni.

Na szczególne podkreślenie zasługuje rozwój własnej produkcji związku „Społem". Obecnie Związek posiada następujące ośrodki produkcji: zakłady chemiczne w Kielcach, wytwórnię słodyczy w Włocławku, młyn w Sokołowie Podlaskim, zakłady rybne w Gdyni, wreszcie nowowybudowaną przetwórnię owoców w Dwikozach pod Sandomierzem. Ostatnio wykupiona została w Toruniu fabryka pierników, która niedługo rozpocznie pracę.

Produkcja spółdzielcza z każdym rokiem wzrasta i ostatnio wynosi już 9,7% ogólnych obrotów. Wzrasta również poważnie prowadzony przez „Społem" eksport ziemiopłodów. W roku ubiegłym wywieziono zagranicę drobiu, jaj i innych ziemiopłodów za 2.499.000 zł. Aparat gospodarczy Związku rozporządza obecnie siecią 32 oddziałów, 24 składnic, 3 oddziałów skupu rolnego, 1-ym handlu włókienniczego, paczkownię i palarnię kawy w Gdyni.

Niezależnie od spraw gospodarczych spółdzielczość spożywców prowadzi bardzo ożywioną akcję oświatowo - wychowawczą.

Dorobek ostatnich lat spółdzielczości spożywców jest bardzo znaczny i stale się zwiększa. Trudno jest w krótkim artykule objąć wszystko cyframi i plastycznie przedstawić. Przyznać jednak trzeba, iż ruch spółdzielczy jest nie tylko potężną organizacją, obejmującą wielką sieć placówek, lecz jednocześnie stanowi zwartą grupę, zarówno pod względem społeczno wychowawczym jak i gospdarczym. Zeszłoroczne ataki na polską spółdzielczość spożywców, są najlepszym dowodem prężności i siły, które za wszelką cenę chcieliby zgnębić kapitaliści i grupy zacofańce.

Ale wytyczonych przez pionierów spółdzielczych i wypracowanych przez wszystkich spółdzielców dróg, już nic nie powstrzyma. Na nic się nie przydadzą żale i ataki tych, co chcą, aby w Polsce kierowała i rządziła grupa uprzywilejowanych możnowładców. Stały dopływ do spółdzielczości spożywców młodego elementu chłopskiego i robotniczego daje pełną gwarancję dalszego rozwoju i urzeczywistnienia szczytowych zamierzeń, wysuwanych przez pierwszych pionierów ruchu.

STEFAN FELECKI

WOLNOŚĆ NIEPODZIELNA

W okresie Monachjum i rozbioru Czechosłowacji prasa lewicowa i demokratyczna Polski tłumaczyła i wyjaśniała różne machinacje i porozumienia między panami z City a pełnomocnikami Kruppów i Thyssenów. Dla wszystkich jasne były źródła „tryumfu" Hitlera, jego „niezwyciężoności" i „potęgi". Poprostu kondotjer wielkiego kapitału, przedstawiciel wszystkich reakcyjnych sił Niemiec umiał znaleźć wspólny język z tymi, których sercom droga była sprawa tego kapitału i tej reakcji. Bankierzy z Paryża i Londynu dobrze rozumieli rolę Hitlera, jako żandarma Europy. Jak długo Hitler jest przy władzy — „Lieb Vaterland, magst ruhig sein"; tym „Vaterlandem" jest międzynarodowa ojczyzna — giełda. Upadek Hitlera, to zwycięstwo tych „drugich" Niemiec, to cios zadany kapitalistycznemu ustrojowi świata.

Tak właśnie tłumaczyła demokracja polska wszystkie monachijskie, przed i po — monachijskie ustępstwa Zachodu wobec Hitlera. Tak samo wyjaśniał to sobie świat pracy na Zachodzie. Akcję przeciw monachijczykom (którzy niestety i w obozie demokratycznym uwili sobie liczne gniazda), prowadzono nie tyle w obronie „angielskości" Kamerunu, albo „francuskości" Indochin, ile w obronie demokracji i pokoju, przeciw spiskowi kapitulanckiej reakcji. Demokracja mogła się wprawdzie liczyć z tym niezwykle ważkim elementem, jakim była obawa imperjalizmu zachodniego przed zachłannością imperjalizmu niemieckiego, liczono się wprawdzie — i słusznie z tem, że koniec końców przyjdzie kres ustępstw, że nawet kapłani kapitulacji i kunktatorstwa będą mieli dość hitlerowskich apetytów. Rozumiano, że zderzenie dwóch imperjalizmów, głodnego i nasyconego, jest coraz aktualniejsze. Wolno było ruchom demokratycznym na Zachodzie brać pod uwagę ten czynnik, jako element akcji przeciw hitlerowskiej, mimo to dla każdego było rzeczą jasną: w interesie reakcji światowej leży utrzymanie regime'u hitlerowskiego (obłaskawicnego i — co jest tylko marzeniem — cokolwiek skastrowanego), w interesie zaś demokracji ludowej — obalenie go i powstanie Nowych Niemiec. Wskazywano na chwiejną i niewłaściwą politykę Pragi niepodległej w stosunku do Niemców sudeckich, politykę czechizacji, która z początku popychała Niemców w ręce Hitlera, później zaś była niezdolna przeciwstawić się naporowi hitlerowskiemu, jego spiskom i akcjom, politykę, która zbytkiem tolerancji już zawczasu oddała faszyzmowi Sudety we władanie i pozbawiła antyfaszystowski ruch Niemców sudeckich jakiejkolwiek obrony przed terrorem agentur berlińskich. Słusznie uważano to za zapowiedź kapitulacji; tak samo jak w każdej próbie ograniczenia swobody ludów w samych Czechach widziano niebezpieczeństwo ugodowości i kompromisu z wrogiem zewnętrznym. Ujawniła się w całej oczywistości prawda, że obrona niepodległości czeskiej jest ściśle powiązana z całkowitą i bezkompromisową demokratyzacją państwa na odcinkach: politycznym, społecznym i narodowościowym.

Należy sobie zdać sprawę, że w naszej epoce dominacji antagonizmów społeczno-klasowych każda „zwykła" wojna imperjalistyczna przeplata się z wojną postępowej demokracji ludowej z reakcją kapitalistyczną. Dla tych samych powodów, dla których stworzono Monachjum, proletarjat zwalczał wszelkie ustępstwa.

Poco te truizmy? Na co zdadzą się te przypomnienia?

Niestety, nie są one zbyteczne.

O ile prawie wszyscy publicyści demokratyczni w Polsce umieli odpowiednio ocenić i słusznie zanalizować istotę problemu czeskiego, umieli określić akcję Hitlera jako typową akcję kapitału imperjalistycznego, i tak samo potrafili scharakteryzować reakcję Anglji i Francji, o tyle obecnie, gdy uwaga całego świata skierowana jest na Polskę, gdy przed nami stanęło zagadnienie położenia kresu barbarzyńskiemu naporowi imperjalizmu hitlerowskiego, nie wszystkim publicystom dopisuje jakoś zmysł krytyczny, u pewnych niestety zawodzi zdolność analizy tych zjawisk, które odbywają się przed naszemi oczami.

Polska jest obecnie rzeczywistem przedmurzem kultury europejskiej. Polska armja może się okazać niezwykle ważkim czynnikiem postępu, jednym z najważniejszych obecnej doby. Mamy jednak podstawę do obawy, by ta, objektywnie tak piękna i godna rola naszego kraju, nie poniosła uszczerbku naskutek opacznego rozumienia stojących przed nami zagadnień.

Nie ulega wątpliwości, że jednem z czołowych zagadnień demokracji polskiej — i nie tylko polskiej — jest stosunek do narodu niemieckiego. Hitler przemawia i działa „w imieniu narodu niemieckiego", uważa siebie za wodza i przedstawiciela ludu niemieckiego. Wiemy, że taka musi być maska faszystowskiego wodza. Faszyzm, reprezentujący interesy kapitału i tylko w jego imieniu działający, nie może występować inaczej, jeno tylko jako przedstawiciel „solidarności narodowej". Wiemy jeszcze, że w tak rozwiniętem kapitalistycznie społeczeństwie, jak naród niemiecki, niema mowy o „Treuga Dei", o pokoju społecznym, nie jest możliwą rzeczą, by ten sam czynnik, który reprezentuje interesy panującego kapitału, reprezentować mógł rzeczywiste interesy uciskanych i wyzyskiwanych mas pracujących. Możliwa jest wprawdzie taka sytuacja, kiedy to burżuazji i jej partji uda się narzucić — zresztą po odpowiedniem przygotowaniu terenu: wytrzebieniu wszelkich organizacyj i instytucyj klasy pracującej — swą ideologję części, nawet większości pracujących, czy to przy pomocy zwykłej, na irracjonalno - szowinistycznych przesłankach opartej demagogji, czy to poprzez ukazywanie mirażu superdywidendy, którą „również" świat pracy będzie mógł ciągnąć z przyszłych zdobyczy imperjalistycznych. Z tych możliwości faszyzm niemiecki korzysta ile się da.

Ale wiemy także, jak wyglądało i wygląda w Niemczech to „przygotowanie terenu" dla propagandy faszystowskiej. Aby ta propaganda mogła skutecznie działać, trzeba było tysiące organizacyj antyhitlerowskich rozbić, tysiące działaczy zamordować, Reichstag podpalić, setki tysięcy opornych do obozów i więzień powtrącać, miljonową armję dobrze opłacanych S. A. i S. S. — Mannów utrzymywać, własnym nawet przywódcom i działaczom Noc Bartłomieja urządzić. Niema jedności w państwie Hitlera, i tej jedności nie będzie. Nie może istnieć jedność w społeczeństwie o tak podstawowych i głębokich sprzecznościach. Jest tam jedność pałki, (która też ma dwa końce), jedność obozu i topora, kajdan i rewolwerów.

I z tem, stanąwszy przed zagadnieniem walki o naszą wolność i niepodległość, musimy się liczyć. Lud niemiecki chce bardzo, najbardziej ze wszystkich narodów świata, klęski Hitlera. Obecnie jest on skuty w kajdany, wola jego jest zdławiona łapą dyktatury, albo spaczona jej propagandą, ale mimo to jego interes jest naszym interesem. W interesie ludu niemieckiego jest niepodległość Czech, Słowacji, państw bałkańskich i bałtyckich, jest nasze zwycięstwo w ewentualnem starciu z wrogiem naszej wolności. To nie frazes bynajmniej! Dziś wola ludu niemieckiego jako czynnika samodzielnego jest bardzo nikła, prawie żadna, ale jest rzeczą zupełnie możliwą, prawdopodobną, że po pierwszej porażce dyktatury, po pierwszym wstrząsie doznanym przez régime, zbudzi się, powstanie to wszystko, co dziś jest uśpione lub z nóg zwalone. Wówczas sojusz ludu Niemiec będzie dla nas nie do pogardzenia.

Z tych samych założeń wychodząc możemy liczyć na pomoc ludów całego świata. Jeśli p. Déat twierdzi, że Francuzi nie chcą się bić za Gdańsk, to w oczach demokracji francuskiej jest on nie tylko kiepskim obrońcą imperjalizmu francuskiego, jego sojuszów i paktów ale — i to przedewszystkiem — wrogiem demokracji i wolności, heroldem podporządkowania się faszyzmowi. Możemy być pewni sojuszu ludów innych, gdy sprawa naszej wolności będzie sprawą ich wolności.

W artykule „Odpowiedzialność za Hitlera" („Czarno na Białem", Nr. 20 (98) Antoni Wieczorkiewicz, biorąc pod uwagę dwa aspekty: wyraźną łączność przeciwpolskich poczynań dzisiejszych Niemiec z odwiecznem „Drang nach Osten" i role mniejszości niemieckiej w poszczególnych krajach, jako mniej czy więcej zdecydowanej agentury Trzeciej Rzeszy, dochodzi do wniosku, że „nie możemy ograniczyć sprawy grożącego nam ze strony Niemiec niebezpieczeństwa do negatywnego stosunku do hitleryzmu jedynie". Głosi on odpowiedzialność wszystkich Niemców za Hitlera. Nie można Wieczorkiewiczowi odmówić pozornej racji, ani w jednej ani w drugiej sprawie.

Przecież same Niemcy hitlerowskie na każdym kroku odwołują się do historji dla uzasadnienia swych ekspansywnych zamiarów, nie wspominają one wprawdzie Psiego Pola ani Grunwaldu, ale nader skwapliwie wynajdują każdy ślad starego „Drangu". Ale prawdą jest również i druga strona tego zagadnienia: l u d n i e m i e c k i — c h ł o p, p l e b e j u s z, r o b o t n i k — n i c z e k s p a n s j ą t a m t y c h N i e m i e c n i e m i a ł w s p ó l n e g o. Można przeprowadzić paralelę między obecnym naporem hitleryzmu a dawnym naporem Krzyżaków, cesarzy, królów pruskich, Bismarcka; ale pod jednym warunkiem uznać musimy, że jest to zawsze napór imperjalistycznych „gór", warstwy rządzącej, panów feodalnych, władców z okresu absolutyzmu, burżuazji szukającej nowych terenów ekspansji, wreszcie współczesnego kapitału imperjalistycznego. Znamy tysiące ideologów „Drangu", ale znajdziemy z łatwością miljony bezimiennych Niemców, większość Niemców, którzy tej „odwiecznej" wojny z Polską nie potrzebowali i swej „misji dziejowej" nie widzieli. Nie jest zresztą to szczególne zainteresowanie klas rządzących Niemiec przywilejem Polski. Tak się złożyło, że naród Polski (niemała w tem zasługa „naszych" klas rządzących) przez wieki był najłatwiejszą zdobyczą. Ale również i inne narody sąsiadujące, przedewszystkiem Francja, są też „odwiecznymi" wrogami Niemiec. A zresztą, czyż to tak dawne czasy, kiedy to Francuzi i Anglicy uważali siebie za „śmiertelnych i wiecznych wrogów". Dopiero bardziej „śmiertelny" i zupełnie „odwieczny wróg", Niemcy, zmusił burżuazję obu krajów do pogodzenia się. Albo, by wrócić do naszej historji, czyż Rosja carska nie była najbardziej znienawidzonym przez wszystkich patrjotów i bojowników o wolność państwem?

Widzimy więc, że ta „odwieczna" wrogość Niemiec do Polski, to nic innego, tylko rzeczywista ekspansywność warstw rządzących niemieckich w stosunku do wszystkich, szczególnie zaś wschodnich sąsiadów.

Odpowiadać za to mogą tylko te warstwy, w obecnym okresie tylko Hitler, jego régime i mocodawcy.

Prawdą niestety jest, że Niemcy poza granicami Rzeszy w poważnym stopniu dali się wciągnąć przez agentury hitlerowskie do roboty Trzeciej Rzeszy.

Przyczyną tego jest m. in. nader umiejętna, często tolerowana przez suwerenne państwa propaganda hitleryzmu, sugerująca niezwyciężoność Hitlera. Przeciętny robotnik lub mieszczuch niemiecki z Katowic lub Łodzi dotąd nawet przeciwhitlerowsko usposobiony ulega coraz łatwiej sugestji „niezwyciężoności". Monachijska ustępliwość sprawiła, że Hitler dotychczas mógł spełniać wszystkie swoje zapowiedzi. Roma locuta, causa finita. Czyż więc dziwić się można, że agitacja groźbą poparta, w dodatku ukazująca ponętne perspektywy ponętnych korzyści, swoje robiła? Niemała w tem zasługa i naszych rodzimych hitlerowców, którzy wczoraj jeszcze rzucali przeciwpatrjotyczne i przeciwludowe hasła hitlerowskie, dzisiaj są gotowi w imię swoiście pojmowanego „patrjotyzmu" rozbić pałką głowę każdemu napotkanemu Niemcowi. Prawdziwą agenturą, w istocie zainteresowaną w postępach hitleryzmu jest przedewszystkiem kapitał niemiecki, którego wpływy w Polsce są bardzo znaczne. Kapitał ten, którego ośrodki dyspozycyjne znajdują się z pewnością poza krajem, który jest z reguły filją kapitału niemieckiego z Rzeszy, jest właściwym organizatorem dywersji hitlerowskiej w naszym kraju. Wpływami swemi ułatwia on agitację hitlerowską, hojnie opłaca agentów i finansuje imprezy berlińskie.

Ale jest rzeczą znaną, że już teraz po pierwszem **„nie"** polski ruch prohitlerowski wśród Niemców polskich doznał poważnego zahamowania. Bo też nigdy sukcesy jego nie wyrażały interesów robotnika i pracownika niemieckiego. Należy wyraźnie odróżnić w akcji zwalczania propagandy hitlerowskiej istotnych agentów Berlina od innych Niemców, nawet tych którzy dali się wciągnąć do akcji im samym wrogiej. Aby akcji hitleryzacyjnej kres położyć, konieczne jest wytępienie wszelkich prób dyskryminacji Niemców polskich. W ten tylko sposób przy słusznej, demokratycznej polityce narodowościowej można będzie włączyć tych Niemców do łańcucha broniącego Hitlerowi przystępu do Polski. Trudno! Pogodzić się muszą nasi reakcjoniści, że taki już jest los Polski: sprawa naszej niepodległości jest ściśle związana ze sprawą demokracji i wolności. Albo patrjotyzm, albo reakcja.

Wieczorkiewicz bynajmniej nie zamyka oczu na bezsporny fakt istnienia opozycji niemieckiej wobec Hitlera. Nie uważa on, tak mi się przynajmniej wydaje, antagonizmu polsko-niemieckiego za wieczny. Nie mojem zadaniem jest doszukiwać się dziury w całem. Pragnę jednak stwierdzić, że wszelkie niedomówienia i niejasności w formułowaniu stanowiska demokracji polskiej wobec zagadnienia niemieckiego, mogą okazać się nader szkodliwe. Należy wyraźnie stwierdzić, że nigdy ani zniszczenie, ani rozbiór Niemiec, ani eksterminacja mniejszości niemieckiej nie będą służyły jako gwarancja, „którаby uchroniła nas przed bezpośredniem ponoszeniem skutków wynikających z jakiegoś nowego błędu, jaki może znowu zechce popełnić naród niemiecki w wyborze swego kierownictwa i przewodnich idej". W interesie Polski leży nie spętanie ponowne ale uwolnienie ludu niemieckiego. Powinniśmy zadzierżgnąć silną nić przyjaźni i solidarności z narodem niemieckim, jak najsilniejszą, tak silną, by starczyła na stryczek dla wspólnego wroga.

Nie wolno stanąć na stanowisku odpowiedzialności wszystkich Niemców za Hitlera i jego wojnę! Takie stanowisko właśnie chciałby nam Hitler narzucić. Prawdą jest, że Niemcy już płacą za Hitlera i że zapewne jeszcze będą musieli płacić wojną. Niema najmniejszej obawy, by „wyrozumiale zapowiadana przez p. (jmb.) bezkarność mogła być raczej zachętą do spróbowania awantury, jeśli konsekwencje tej awantury obciążyć mają w razie przegranej jednego tylko człowieka i szczupłą grupę kierownictwa". Sama „awantura" — wojna już jest „dostateczną" konsekwencją, by wroga postawa wobec polityki Hitlera stała się jak najbardziej powszechna.

Wiemy dobrze komu i jakiemu ustrojowi zawdzięczamy obecny stan. Wiemy, że ani weimarskie przemiany (które niestety — mimo oceny (jmb.) — nazbyt przypominały przemalowanie szyldu) nie były tak poważne, by zlikwidować niebezpieczeństwo imperjalizmu niemieckiego dla Polski, ani fantazje, godne Jules Verne'a lub Chamberlaina, o Zjednoczonych Stanach Europy nie usuną niebezpieczeństwa. Hypernacjonalizm Niemiec nie jest czemś stałem, samodzielnem i wiecznem; jest on produktem obecnego ustroju niemieckiego i jego tylko interesom służy.

O tem musimy wciąż pamiętać!

TEATRY WARSZAWSKIE

„Samuel Zborowski" **Ferdynanda Goetla** — to jedna z nielicznych pamiątek owego okresu sprzed lat dziesięciu, gdy za przewodem Kadena starano się uciekającą od rzeczywistości literaturę uwiązać u płotu władzy. Ci, którzy na rożen majowego przewrotu na wszelkie sposoby nadziewali własną pieczeń, gorączkowo rozglądali się za „podbudową ideologiczną", mającą usprawiedliwić jej spożycie. Pamiętamy ową gonitwę w poszukiwaniu efektownych haseł, import doktryn i mozolne budowanie programów z piasku (w oczy) i papieru; jakgdyby można było najpierw robić rewolucję, a potem zastanawiać się, poco ją zrobiono. Nazywało się to wówczas „szukaniem nowej treści rzeczywistości polskiej"; tę nową treść ukazać miała, między innemi, literatura. Urzędnicy kultury, funkcjonarjusze poezji snuli już w swych referatach plany racjonalizacji twórczości, zsynchronizowania jej z potrzebami taktycznej „racji stanu". Odcinki podatniejsze dla tych kagańcowych zapędów, a zarazem wdzięczniejsze jako środki bardziej bezpośredniego działania na masy — kino i teatr — cieszyły się szczególną ich opieką. Luzem puszczona literatura pozostała głucha na szum kadenowskich czarnych skrzydeł; ale i kino szybko odstręczyło zapaleńców, dowiódłszy, że nawet „Pana Tadeusza" potrafi przerobić na Mniszkównę. Ostali się tylko w teatrze, choć i tu ze szczytnych rojeń o nowej roli polskiego dramatu zrodził się bodaj jeden „Samuel Zborowski".

Jeśli Teatr Narodowy chciał pokazać, jak niewiele pozostało dziś i z tych zamierzeń i z programów — trudno było w istocie o odpowiedniejszy moment na wystawienie tej sztuki. Kiedyż bardziej niż dziś widoczne były przepaście, ku którym wiedzie narody „zorganizowana i ujednolicona" dyktatorska wola; kiedyż wymowniej niż dziś ujawniła się prawdziwa siła tych racyj stanu, których broni i o które walczy demokracja; któż dziś odważy się rzucać przestrogi, by tej demokracji „uważnie patrzeć na palce"?

A przytem jak niewydarzonemi drogami kroczy ta goetlowska apoteoza władzy! Organizowany entuzjazm i zapał planowany na zimno wytworzyły rzecz w dramacie najniebezpieczniejszą: pseudoromantyzm, kształt romantycznego dramatu bez jego wewnętrznego ognia. To co tam było buntem, tu jest kalkulacją; co tam było roztrzaskiwaniem form krępujących ducha, tu jest naśladownictwem — i to naśladownictwem nieudolnem. Jest rzeczą doprawdy zastanawiającą, jak mało naszych pisarzy, sięgających po laury sceniczne, zdaje sobie sprawę z prymitywnych zasad budowy dramatu. O wszystkich niemal zdarzeniach akcji w tej sztuce widz dowiaduje się z ust opowiadaczy; niekiedy dzieją się one w pobliżu sceny, prawie nigdy — na scenie. Angelos, dawny goniec z tragedji greckiej, urasta w dramacie Goetla do roli dominującej. Rozkład napięć — przypadkowy i nierówny — szatkuje ten dramat na szereg luźnych scen, przyczem realizm jednych kłóci się z symbolizmem innych. Konflikt wewnętrzny Samuela do końca właściwie pozostaje mętny; rozwiązuje go Batory (więc znów goniec), ale nie ukazuje dramat, mimo że — jak zwykle w tego typu „ideologicznej" literaturze — wszystkie światła skupione są na antagoniście, na krytyce, podczas gdy protagonista ma tu niezmiernie mało do powiedzenia. Decyzje Samuela są nieumotywowane; rządzą niemi raczej przypadki, chwilami wydaje się, że raczej niedołęstwu partji „państwowej" przypisać wypada, iż nie umiała skierować jego porywów we właściwe łożysko. Goetel nie chciał upraszczać sobie zadania przedstawianiem Samuela jako pospolitego warchoła; w tem jego wyższość nad łatwizną „Mateusza Bigdy" (powetował to sobie zresztą z nawiązką w ostatnim obrazie warszawskiego sejmu). Ale jeśli rozprawa z warchołem była zbyt łatwa — ta okazała się ponad jego siły.

Od aparatów synchronizacyjnych wymaga się przedewszystkiem czułości i precyzji: najdrobniejsze spóźnienie grozi katastrofą. Teatr Narodowy, wystawiając „Samuela Zborowskiego", a nadomiar wiążąc go jeszcze w komentarzach programowych z niedawną książką Goetla, która tyle wywołała wesołości, dowiódł wybitnego braku tych cech. Jeśli żyjemy dziś istotnie „pod znakiem faszyzmu", to bynajmniej nie w tem znaczeniu, jak to rozumie szanowny akademik. Jego wyciągnięta dogóry ręka jest gestem człowieka, który załatwiając dyskretną potrzebę w cieniu dorożki, nie zauważył, że dorożka już odjechała.

Jerzy Pański

ZYGMUNT JAROSZ

Na marginesie dyskusji o materjaliźmie

Praca moja p. t. „Materjalizm żyje jeszcze", drukowana w dwu kolejnych numerach „Sygnałów" (59 z 15. XII. 1938 i 60 z 1. I. 1939), wywołała niespodziewanie szeroki oddźwięk i dyskusję. Oczywiście, zdaję sobie dokładnie sprawę, że stało się tak nie dzięki osobistemu wkładowi autora w opracowanie tematu, ale na skutek ciężaru gatunkowego poruszonych zagadnień. Mimo głębokiej satysfakcji jednak, jaką sprawiło mi samo przekonanie się o nieoczekiwanie szerokiem zainteresowaniu u nas najtrudniejszemi problemami, stojącemi przed myślą ludzką, nie mam zamiaru przeprowadzać teraz jakiejś generalnej obrony moich tez. I to nie dlatego tylko, że przewiduje przyznanie się do niektórych popełnionych błędów, lecz przedewszystkiem naskutek aż nazbyt dobrze znanych wydarzeń ogólniejszej natury, które skłaniają mnie do całkowitego skupienia się w mojej pracy publicystycznej na zagadnieniach z zakresu polityki międzynarodowej.

Wszelako, aby nie stwarzać pozorów kapitulacji i poddania się bez wystrzału, proponuję moim szanownym przeciwnikom, aby zechcieli zwrócić uwagę raz jeszcze na dwa poniżej wyłuszczone dylematy.

I

Kwestja tożsamości materji i energji. Utożsamiłem je, powołując się w tym względzie na prof. M. T. Hubera. Poza innymi fizykami polskimi, na których mógłbym się jeszcze powołać, sądzę, że dla moich marxistowskich oponentów ciekawe będzie znalezienie odpowiedniej tezy u marxisty Labérenne'a. Na str. 170 jego książki p. t. „L'origine des mondes" czytamy, że materja może być uważana za szczególną formę energji („...la matière peut, elle aussi, être considérée comme une forme particulière de l'énergie...“), ponieważ jest zdolna do przemiany w promieniowanie („...puisq'elle est susceptible de **fondre** en rayonnement."). Moje stanowisko w tej kwestji poparł także zdecydowanie Józef Ciągliński, broniący dialektycznego poglądu na zdobycze nauki współczesnej (por. 63 nr. „Sygnałów" z 15. II. 1939). Z najnowszych źródeł należy przytoczyć: Hélène Konczewska, „L'unité de la matière et le problème des transmutations" („Bibliothèque de philosophie contemporaine", Paris, Librairie Felix Alcan, 1939.). Na str. 281 tego dzieła znajdujemy twierdzenie, że wedle nowych koncepcyj fizykalnych, energja promienista i materja nie stanowią już dwóch kategoryj zjawisk całkowicie odrębnych i niesprowadzalnych do wspólnego mianownika („...l'énergie rayonnante et la matière cessent de représenter deux catégories de phénomènes absolument distinctes et irréductibles."). Ciekawe, że tezę o tożsamości materji i energji uznaje też mój katolicki przeciwnik z „Wiary i Życia", Edward Kalinka (por. nr. 9 tego pisma z 1. V. b. r.).

Natomiast zaatakował tę tezę Aleksander Nietlisz w 62 numerze „Sygnałów" z 1. II. b. r. Stwierdził on, że znak równości należy raczej postawić między masą a energją. I znowu rzecz interesująca: takież samo stanowisko zajmuje najwybitniejszy uczestnik polemiki, prof. dr. Czesław Białobrzeski. Pisze on w nr. 7 „Wiary i Życia" z 1. IV. b. r.: „Zwróćmy się do innych twierdzeń naszego autora (t. zn. niżej podpisanego — przyp. mój, Z. J.). Powiada on, że jedną z najważniejszych zdobyczy fizyki współczesnej jest stwierdzenie tożsamości materji i energji. Jest to twierdzenie nieprawdziwe. Istnieje wprawdzie, wedle teorji względności, równoważność masy i energji, ale pojęcie masy bynajmniej nie pokrywa się z pojęciem ogólnej materji. Utożsamienie materji i energji jest podstawą energetyzmu Ostwalda, poglądu raczej metafizycznego, który u większości fizyków nigdy nie miał powodzenia, obecnie zaś jest całkiem zaniechany". Podobnie zresztą pisał już prof. Białobrzeski przed osiemnastu laty w swej doskonałej broszurze p. t. „Budowa atomu i pojęcie materji w fizyce współczesnej". Czytamy tam na str. 32: „Pole elektromagnetyczne posiada bezwładność, którą teorja względności konsekwentnie przypisuje wszystkim rodzajom energji, utożsamiając masę i energję".

Jak widać, Kalinka popiera w kwestji omawianych tożsamości niżej podpisanego — przeciw swemu znakomitemu komilitonowi z „Wiary i Życia", podczas gdy prof. Białobrzeski ma u swego boku A. Nietlisza, marxistę. Sprawa jest nader ważna, ponieważ chodzi o wyjaśnienie podstawowych pojęć współczesnej fizyki. Dlatego pozwolę tu sobie przytoczyć dwie dłuższe cytaty z najnowszej książki Alberta Einsteina, napisanej przezeń do spółki z młodym polskim uczonym, Leopoldem Infeldem. Książka ukazała się najpierw po angielsku, a potem w przekładzie francuskim, p. t. „L'evolution des idées en physique" („Bibliothèque de Philosophie scientifique", Paris, Flammarion, 1939.). Na str. 194 czytamy:

„Fizyka klasyczna wprowadziła dwie substancje: materję i energję. Pierwsza była obdarzona wagą (poids), podczas gdy druga była jej pozbawiona. W fizyce klasycznej mieliśmy dwa prawa zachowania: jedno dla materji, drugie dla energji. Ale fizyka współczesna nie podtrzymuje tej koncepcji dwóch substancyj i dwóch praw zachowania. Zgodnie z teorją względności niema zasadniczej różnicy między masą a energją. Energja posiada masę, a masa reprezentuje energję. W miejsce dwóch praw zachowania mamy jedno: prawo zachowania masy-energji".

A na str. 238 i n.:

„Mamy dwie realności: materję i pole (elektromagnetyczne — przyp. mój, Z. J.)... Czy możemy uważać materję i pole za dwie realności różne i odrębne?... Jakież są kryterja fizyczne, które pozwalają odróżniać materję od pola? Przed poznaniem teorji względności mogliśmy próbować odpowiedzieć na to pytanie następująco: materja posiada masę, a pole nie. Pole reprezentuje energję, materja reprezentuje masę. Lecz wiemy już, że taka odpowiedź jest niewystarczająca. Teorja względności uczy nas, że materja reprezentuje niezmierne zasoby energji i że energja przedstawia materję (et que l'énergie représente de la matière). Nie możemy zatem rozróżniać jakościowo materji i pola, ponieważ odrębność masy i energji nie jest charakteru jakościowego. Największa część energji jest skoncentrowana w materji, ale pole, które otacza cząsteczkę przedstawia również energję, jakkolwiek w nieporównanie mniejszej ilości. Powinniśmy więc konsekwentnie powiedzieć: materja znajduje się tam, gdzie koncentracja energji jest duża, pole zaś tam, gdzie zagęszczenie energji jest małe. Lecz skoro tak jest, różnica pomiędzy materją a polem jest raczej charakteru ilościowego, niż jakościowego (la différence entre la matière et le champ est plutôt d' ordre quantitatif que d'ordre qualitatif). Niema sensu rozpatrywać materji i pola jako dwu jakości całkowicie różnych jedna od drugiej. Nie możemy wyobrazić sobie określonej powierzchni, rozdzielającej wyraźnie pole od materji (Nous ne pouvous imaginer une surface définie, qui sépare nettement le champ et la matière)".

Wydaje się więc w świetle tych dwu cytat, zwłaszcza zaś drugiej z nich, że utożsamianie materji i energji jest rzeczą usprawiedliwioną. Przypuszczam nawet, że w kwestji tej dałoby się osiągnąć jednomyślność wśród wszystkich uczestników polemiki, zarówno ze strony „Sygnałów", jak i „Wiary i Życia". Potrzebne to zaś byłoby dla oczyszczenia fizykalnego przedpola do dalszej dyskusji światopoglądowej. Dodajmy nawiasem, iż sam fakt sporu o podstawowe pojęcia fizykalne (bowiem spór ten nie ma charakteru terminologicznego tylko, jakby się na pierwszy rzut oka mogło wydawać) świadczy, naszem zdaniem, na korzyść tezy, że „współczesna fizyka leży w połogu".

II

Kwestja pochodzenia rodzaju ludzkiego. Wyłoniła się ona z dyskusji raczej marginesowo. Ale bardzo dobrze, że się wyłoniła. W nader interesującem i na najwyższym poziomie intelektualnym utrzymanem studjum, p. t. „Wiara religijna i nauki przyrodnicze", ks. dr. Franciszek Sawicki pisał (w nr. 3 „Wiary i Życia" z 1. II. 1939):

„Niepokój budzić może jeszcze zastosowanie wspomnianej teorji ewolucyjnej do **człowieka**. W swej rozprawie o materjaliźmie pisze p. Z. Jarosz — a zdanie to jest dosyć rozpowszechnione: „Ponieważ pochodzenie od zwierząt niższych ustrojowo jest sprzeczne z artykułami wiary, musi być odrzucone przez każdego katolika". A jednak stan rzeczy jest inny. Stanowczo teologja odrzuca pochodzenie **duszy** ludzkiej od duszy zwierzęcej, gdyż istnieje między niemi istotna różnica. Jeżeli zaś chodzi o pochodzenie **ciała** — kwestja ta tylko należy do przyrodnika — to teologowie naogół wprawdzie przyjmują, że i ciało pierwszego człowieka powstało za bezpośrednim współdziałem aktu samego Stwórcy, gdyż to zdaje się wynikać z tekstu Pisma św., oświadczają jednak wyraźnie, że twierdzenie o pochodzeniu ciała ludzkiego drogą naturalnego rozwoju od ciała zwierzęcego nie jest formalnie potępione przez kościół, a w takim razie nie może być uważane za herezję. (Por. używany w wielu szkołach katolickich podręcznik dogmatyki **Tanquerey :Synopsis Theologiae dogmaticae.** 20. editio. Romae 1926, II, p. 520.)".

Autor niniejszego artykułu przyznaje chętnie, że zacytowany fragmencik studjum ks. dr. Sawickiego wywarł na nim piorunujące wrażenie. Słuszność miał więc Aleksander Nietlisz, twierdząc, że kościół asymiluje dzisiaj nawet Darwina! A raczej: stara się asymilować. Jak widać z ujęcia ks. dr. Sawickiego, praca ta posuwa się naprzód opornie, nieśmiało i niekonsekwentnie. Wszakże teologowie usiłują zająć czysto **formalną** pozycję: twierdzenie o pochodzeniu ciała ludzkiego od zwierzęcego nie zostało przez kościół ex officio obwołane za herezje, a więc katolik może być jego zwolennikiem. Możemy być spokojni: odpowiedni tekst biblijny, twierdzący, „że i ciało pierwszego człowieka powstało za bezpośrednim współdziałem aktu samego Stwórcy", nie zostanie zbyt nagle i zbyt ostentacyjnie wyrzucony do lamusa. Taktyka teologiczna jest jasna: pogodzić się ze zdobyczami nauki, ale zrobić to tak powoli i ostrożnie, aby wierni zdążyli zapomnieć o niedawnem, zdecydowanie wrogiem ustosunkowaniu się ideologów katolickich do darwinizmu. Ratować, co się da: duszę ludzką — odrywając zresztą w ten sztuczny i przeciwnaukowy sposób psychologję od fizjologji.

Do tematu tego wrócimy jeszcze. Tutaj podkreślimy tylko, że twórcy naukowego socjalizmu, Marx i Engels, wlot ocenili swego czasu genjalność darwinowskich koncepcyj. A trzeba było pół wieku, aby **pozornie** podobną pozycję zajęli i teologowie katoliccy. Bo asymilacja teorji ewolucji przez katolicyzm nie odbywa się wprost, a z odpowiedniemi **przykrajaniami**. Także historycznie dzieje się to wszystko z odpowiednią **niekonsekwencją**: wszakże i dziś jeszcze księża prefekci w polskich gimnazjach czy liceach mają tylko bezlitosną drwinę w odpowiedzi na ciekawskie pytania sztubackie o pochodzenie człowieka od małpy!

Doceniamy w całej pełni znaczenie pozycji, zajętej przez ks. dr. Sawickiego w sporze o genealogję rodzaju ludzkiego. Sądzimy, że od czasu kapitulacji przed heliocentryczną teorją Kopernika nie dokonał kościół nigdy aktu podobnego ugięcia się wobec zdobyczy nauki. Nigdy też zapewne nie było katolickim ideologom tak trudno robić „dobrej miny do złej gry". Intelektualiści zaś niezależni z dumą mogą przypomnieć epitaphium Hussa: „Veritas vincit". Bo prawda zawsze zwycięży, i to w swej najpiękniejszej, nie zaś **wypaczanej** postaci!

Na zakończenie kilka słów ogólniejszej natury. Ideologiczna linja podziału nie zarysowała się w dotychczasowej dyskusji dość wyraźnie. Wydaje się jednak, że wkońcu po jednej stronie barykady znajdzie się zarówno Józef Ciągliński, Henryk Małecki, Aleksander Nietlisz, jak i autor niniejszego artykułu. Po przeciwnej zaś: prof. Czesław Białobrzeski, ks. dr. Franciszek Sawicki, ks. Stanisław Wawryn, Edward Kalinka — a może również Józef Lubojański, Paweł Konrad czy J. S. Leysin (por. nr. 61 „Sygnałów" z 15. I. i nr. 66 z 1. IV. b. r.). Jednakże podkreślić trzeba także pewną zmianę, jaka zaszła od czasu rozpoczęcia dyskusji przed półrokiem niespełna. Trudno zaprzeczyć bowiem, że dzisiejsza historyczna sytuacja Polski zaciążyła także nad pozycją wzajemną wszystkich dyskutantów. Sądzić wypada, że wszyscy my, zarówno z lewej, jak i z prawej strony barykady, odczuwamy teraz względną drugorzędność dzielących nas różnic. Owszem, satysfakcją napełnia nas fakt, że możemy tutaj, w Polsce, prowadzić dyskusję nad wartością dwu tak bardzo przeciwstawnych sobie światopoglądów. I niemniejszą satysfakcję sprawia nam chyba świadomość, że w obronie samej wolności, także wolności myśli i słowa, tworzymy jednak wspólny front. Front przeciw potwornemu zamachowi, który przygotowuje się za naszą zachodnią granicą. Front przeciw duchowi „Herrenvolku", przeciw duchowi prusactwa, osiągającemu dziś swój obłędny, szczytowy punkt rozwoju. Front w obronie niepodległości i wolności, w obronie swobodnego rozwoju narodowego i w obronie odwiecznego prawa do nieskrepowanych dociekań. Nigdy bodaj dotąd te dwa pojęcia „niepodległość" i „wolność" nie spajały się tak dokładnie, jak teraz. Sprawił to nasz koszarowo-totalistyczny sąsiad z Zachodu, bestja hakatystyczna, wciąż niesyta zdobyczy. Owszem: dzielą nas tu, w Polsce, głębokie różnice światopoglądowe. Ale przeciw „wyrównaniu" ich obcasem i pikielhaubą potrafimy się bronić wspólnie. Potrafimy się bronić wspólnie zarówno przeciw wyraźnym apetytom p. Hitlera, jak i przeciw mniej wyraźnym manewrom p. Chamberlaina.

Być może, oceni ktoś finał tego artykułu, jako trochę nie á propos, trochę koturnowy i trochę katonowski. Nie szkodzi. Większość czytelników będzie chyba zdania, że takie „caeterum censeo" jest dziś w Polsce zawsze i wszędzie na miejscu — niezależnie od tego, kto je wypowiada.

EDWARD SZYMAŃSKI

ARS POETICA

A i dokąd ma frunąć ten wiersz —
pozdrowienie szerokim dalom —
kiedy wgłąb i wzdłuż i wszerz
wszystkie progi okute stalą?

A i jakiż ładunek słów
pod skrzydłami na wiatr ma ponieść?
Oślepłemi źrenicami luf
patrzą Muzy na Helikonie.

Nie na pieśń — a na chrzest i huk
czujny stoi przed hangarem Apollo.
Na karabin zamienił łuk,
sto pegazów zaprzągł w samolot.

Więc mi maskę najcięższą włóż,
zła poezjo, okopana w księgach,
i do ręki wciśnij mi nóż —
sam do serc będę umiał sięgać.

I mój łeb — gorejący krzew —
dynamitem epoki przygnieć.
Nie do westchnień rymuje się krew,
zanim w nowy fundament zastygnie.

— — — — — — — — — — — —

Czy uwierzył, czy pomyślał któżby?
(komu przyjdzie zostać,
komu zginąć)
w pogrzebanych dniach,
obcą godziną
obudziłaś mnie werblem wróżby:

— Idzie krzyk,
bije krzyk do twojego mieszkania.
Ściany i dach ci zdmuchnie!
Który przed dniem dzisiejszym milczeniem się zasłaniasz,
ogłuchniesz.

Idzie blask,
bije blask w stu czerwonych językach.
W jedno słońce śnieżyste krzepnie.
Który na dzień dzisiejszy żywe oczy zamykasz,
oślepniesz.

Nie twój ból,
zakopany w glebie dynamitowej,
wybuchnie w onej godzinie.
Który na dzień dzisiejszy w piasek ukryłeś głowę,
zginiesz.

Który, krom śmierci — wszystko w dniu idącym mieścisz,
ogień ciebie uzdrowi,
przemieni.
Na hojne szafowanie śmiechu i boleści
wstań z ziemi!

I tych złudzeń wyzbyć się trzeba

„Stara miłość nie rdzewieje", — a jeśli już rdzewieje, to pod wpływem wielkiej masy wilgoci (zimne tusze!...) i dużo czasu trzeba, zanim przerdzewieje zupełnie i — pęknie. Interesującem polem badań nad „starą miłością" w sensie politycznym jest stosunek naszych domorosłych chwalców faszyzmu i „totalniaka" do p. Mussoliniego, jego rządów i jego „imperjum".

Na przestrzeni kilkunastu lat było zachwytów, pokłonów i duserów wzajemnych coniemiara. Pamiętamy entuzjastyczne artykuły p. Ogińskiego w „Gazecie Polskiej", pamiętamy pełne czołobitności przemówienia i enuncjacje polityków wiadomego „obozu", zachwalających „włoszczyznę" faszystowską, jako wzór do gorliwego naśladowania. Były wycieczki i przyjazdy, wizyty i rewizyty, uroczystości i manifestacje, coraz gorętsze, coraz płomienniejsze. W grudniu 1937 r., w związku z odsłonięciem pomnika Marsz. Piłsudskiego w Rzymie, wyjechała do stolicy włoskiej delegacja polska. Sam fakt tego wyjazdu nie budził, oczywiście, żadnych zastrzeżeń ani zdziwienia, — zdziwienie natomiast ogarnęło wielu ludzi w Polsce dopiero wtedy, gdy delegacja, nie poprzestając na oficjalnym programie uroczystości, wstąpiła na niebezpieczną drogę całkiem już marginesowych i zbędnych demonstracyj. Złożono więc wizytę nie tylko partji faszystowskiej w jej głównej siedzibie, ale również — komendzie t. zw. milicji „czarnych koszul", przyczem dowódca jej gen. Russo wręczył członkom delegacji pamiątkowe puginały używane przez „milicjantów".

O tej „milicji" pisał wówczas warszawski „Dziennik Ludowy": „Pod niewinną nazwą „ochotniczej milicji bezpieczeństwa narodowego" kryje się znana ze swych bezwzględnych wyczynów bojówka partji faszystowskiej, mająca na swem sumieniu życie i krew setek obywateli włoskich, m. in. Matteottiego. Zadaniem milicji jest niszczyć każdego, kto ośmieli się podnieść głowę przeciw panującemu regime'owi. W pracy tej milicja posługuje się przeważnie sztyletami"... Biorąc te komentarze pod uwagę, należałoby dojść do wniosku, że faszystowskie dary nie sprawiły członkom delegacji polskiej szczególnej przyjemności. Tak czy inaczej — wypisywano o tem wszystkiem sążniste i bardzo ciepłe komunikaty.

*

Minęło miesięcy zaledwie — piętnaście. P. Adolf Hitler był łaskaw przedłożyć Polsce swe — znane już dziś powszechnie — „wielkoduszne propozycje". Rewelacje b. prezydenta senatu gdańskiego i b. hitlerowca — Hermana Rauschninga w dziennikach francuskich dowodzą jak na dłoni, że te „propozycje" stanowią jedynie fragment gigantycznego planu, według którego państwa bałtyckie, Polska, Rumunja, Węgry, Jugosławja i Czechosłowacja zostałyby zwasalizowane przez III Rzeszę w interesie jej polityki wojskowej i gospodarczej. Wykonanie tego planu — pisze Rauschning — „wymaga zniszczenia Polski, stanowiącej jedyne wielkie mocarstwo, zdolne powstrzymać realizację planu. Wymaga ona rozbioru obszaru Polski i zredukowania go do 15 miljonów mieszkańców"... Rozbiór ten — dowodzi Rauschning — zostałby dokonany drogą włączenia do Niemiec — Pomorza, Poznańskiego, Górnego Śląska oraz części województw środkowych aż po granice Bugu i Narwi oraz Bzury i Rawki... Komentarze — jak mi się zdaje — zbyteczne.

Włochy faszystowskie są oficjalnie i formalnie sojusznikiem Niemiec hitlerowskich, a układ berliński związał obu partnerów na śmierć i życie w każdej okoliczności i w każdej potrzebie. Z tych też powodów Włochy dzisiejsze, to znaczy ich rząd faszystowski, muszą popierać i popierają w istocie roszczenia Niemiec w stosunku do Polski, a temu poparciu „kierowana" przez ministerstwo propagandy prasa włoska daje wyraz całkiem przecież niedwuznaczny. Że sojusznicy naszych przeciwników nie mogą być naszymi przyjaciółmi, że trzeba się z tem pogodzić i wziąć to pod uwagę, to sprawa chyba stuprocentowo jasna i zrozumiała.

Okazuje się jednak, że — nie odrazu i nie dla wszystkich. Upłynęło sporo dni od „wielkodusznych propozycyj" naszego zachodniego sąsiada, a w pewnych kołach polskich tliły się wciąż jeszcze sympatje dla rzymskiego partnera „osi", ba! pokładano w nim nadal pewną sumę zaufania, łudzono się wiarą w jego „lojalność" wobec Polski, widziano w nim „medjatora", który potrafi pogodzić ogień z wodą i rozstrzygnąć korzystnie dla wszystkich stron spór polsko - hitlerowski. Nie były to bynajmniej tłumione tylko nadzieje i tęsknoty szeptane pokątnie. Sugestje tego rodzaju spływały spod pióra tych, którzy zanic się rozstać nie chcieli ze swem rzymskiem bożyszczem, którzy myśl o tem nieuniknionem rozstaniu przyjmowali z przerażeniem i rozpaczą. Jeszcze w drugiej połowie kwietnia, gdy sytuacja międzynarodowa zarysowała się z całkowitą wyrazistością, rzymski korespondent Polskiego Radja, p. Lucjan Rościszewski, pozwalał sobie sugerować radjosłuchaczom rzekomą słuszność pretensyj włoskich pod adresem Francji, próbował przekonywać o konieczności ustępstw ze strony naszej sojuszniczki i rozdmuchiwał tym sposobem gasnące — zawsze, zresztą, wątpliwe i powierzchowne — sympatje opinji polskiej dla faszystowskich Włoch i dyktatora w czarnej koszuli. Sam p. Alfieri nie powiedziałby nic innego.

Ale po zjeździe medjolańskim przyszedł wreszcie zimny tusz o niezwykłej mocy i skuteczności. Oto w urzędowym organie włoskiego Min. Spraw Zagranicznych, „Relazioni Internationali", wydrukowano artykuł o sprawie Gdańska i autostrady, w którym czytamy, że „żądania Hitlera są słuszne i rozsądne, zaś Polska popełniła błąd, stając poza historją, a przedewszystkiem poza rzeczywistością"... „Jeśli Polska chce żyć i rozwijać się — poucza nas dalej „kierowany" publicysta faszystowski — powinna iść razem z Niemcami. To jest punkt zasadniczy całej sytuacji... Dziś Polska jest na rozstajnych drogach: albo z „osią", albo przeciw „osi". Alternatywa jest jasna i dokładna i nie dopuszcza żadnych wykrętów"...

Jak widzimy, p. min. Ciano przemawia do Polski całkiem „jasno i dokładnie" — i nie wątpię, że wszyscy w Polsce zrozumieli i ocenili tę mowę należycie.

*

Wśród nas, demokratycznych degeneratów" (jak wytwornie wyraża się ekscelencja Ribbentrop), ten obrót rzeczy nie budzi ani zdziwienia, ani smutku. My nie będziemy nosić żałoby po „przyjaźniach", których nie było, z mocnych i prostych drzew naszych koncepcyj politycznych nie opadają dziś zwiędłe liście fałszywych tęsknot i nadziei. Wszystko toczy się tak, jak się toczyć musiało, — niema takiego dyktatora, któryby mógł się przeciwstawić miażdżącej papierowe przeszkody — logice wypadków.

Pan Smogorzewski, zagorzały niedawna chwalca hitlerowskiego „dynamizmu" uczynił już na szpaltach „Gazety Polskiej" publiczne wyznanie win, dokonał też aktu skruchy i ekspiacji. — Czekamy następnych. Czekamy tych, którzy w porywie męskiego zdecydowania zrzucą z siebie również publicznie i tak samo szczerze balast fałszywych iluzyj, przegniłych sympatyj, zwodniczych wyrachowań w stosunku do faszyzmu włoskiego. Boć nie jest on lepszy ani gorszy od tego, co niesie nam i czem nam grozi faszyzm niemiecki.

Im prędzej wyzbędzie się opinja polska tych resztek polityki przebrzmiałej i zbankrutowanej bezpowrotnie, tem łatwiej i skuteczniej wkroczy Rzeczpospolita na drogi rozwoju, wskazane przez tradycję dziejów, dobro narodu i realny interes państwa.

Bolesław Dudziński

OPTYMIZM CZASÓW POGARDY

Bezprzykładne poniżenie godności ludzkiej, bestjalstwo, okrucieństwo, sadyzm i znęcanie się nad słabszym nasuwają ponure refleksje o kulturze naszych czasów. Obozy koncentracyjne, niszczenie dorobku kulturalnego wielu wieków, bezmyślne prześladowanie niewinnych oraz zaborcze zdobycze faszyzmu ostatnich miesięcy muszą narzucić siłą faktu pytanie: gdzie koniec? I czy nie wypełzły właśnie teraz wszystkie niegodziwe siły, by zniszczyć wszelki postęp? Czy nadarmo przelane zostało morze krwi, czy opłaca się jakaś ofiara? Przecież tak już wygląda, jakby samo Zło wydobyło się z kręgów dantejskich i hasało po ziemi umęczonej! Tracimy perspektywę, nie możemy wierzyć, by tak duża masa ludzi zdolna była nie tylko do wyzbycia się wszelkiej zdrowej myśli, ale i do zadawania masowej udręki, jakże często niewinnym i bezbronnym. Przecież w zaborach faszyzmu niemieckiego pomagały i pomagają nie tylko jednostki, nie tylko agenci Gestapo i groźba siły orężnej, ale i ludzie spoza granicy, zahipnotyzowani bezmyślnemi „teorjami" jedności rasowej. Widocznie ta siła zła okazała się większa, silniejsza, bardziej atrakcyjna od ideałów wolnego współżycia i demokracji. Wydaje się, jakby ludzie garnęli się pod but, który ich będzie deptał. Więc opadają ręce, serce napełnia się żalem, pesymizmem, nawet rozpaczą.

Dobrze jest więc, jeśli dowiadujemy się od Fryderyka Wolfa,*) że czasy dzisiejsze nie są tylko „czasami pogardy", ale i czasami bohaterskiemi, pełnemi poświęcenia się dla wielkiej idei postępu i wolności, pełnemi samozaparcia się. Zwierzę czasów dzisiejszych nie wylazło z człowieka przypadkowo, wydobyto je tylko jako reakcję na prometejską ideę człowieka wyzwolenia i postępu, dla załamania, zdeptania i zmiażdżenia jej bojowników. Nie dać się shańbić, zdeptać, poniżyć, ale działać, szerzyć płomień prawdy, który najgorszemi katuszami, jakie zadać może ciału i duszy, ugasić się nie da — oto są zadania narodu niemieckiego. W łonie tego narodu poetów i myślicieli znajdują się ludzie, coraz liczniejsi, dzisiaj przyczajeni, ukryci, bez twarzy i głosu, których my nie widzimy i nie słyszymy, ale którzy stają kiedyś jako potężna masa. Wtedy „ci podziemni, mężczyźni i kobiety, wystąpią z wnętrza ziemi na powierzchnię, na światło dnia. Będą się dziwić wtedy, jak dużo ich jest, a ziemia, ta oniemiała, osołomiona, skatowana ziemia otworzy radośnie oczy na to, co w ukryciu się dokonało".

Dla tych najlepszych, wybranych, o charakterach z wielekroć hartowanej stali, walka jest posłannictwem, jest koniecznością i impulsem, bez którego żyć nie potrafią. Jakże szlachetny paradoks: narażeni każdej chwili na śmierć w walce, chcą popełnić samobójstwo, gdy warunki im na dalsze jej prowadzenie nie pozwalają. Oni to właśnie, ci optymiści czasów pogardy, ci nieznani bohaterowie nowego jutra, wyzwoleni od ponurego koszmaru „etyki" faszyzmu, są rdzeniem i magnesem narodu niemieckiego, wokół którego narastać będą masy.

A jednak faszyzm dzisiaj tryumfuje, przytłacza, dusi jak zmora i kto wie, czy jeszcze nasze pokolenie potrafi się odeń uwolnić. Dlatego człowiek, który późną i zimną nocą jesienną przekrada się nad — jakże niedawną — granicę sudecko-niemiecką, który brnie przez potok górski po ścianie stromej przepaści, by oddać przyjacielowi z tamtej strony ulotki i odebrać od niego pieniądze na pomoc dla republikańskiej Hiszpanji, musi mieć wątpliwości. Czy opłaca się dla paru zadrukowanych stron narażać na śmierć lub, co gorsza, straszliwą katorgę, czy tych 85 marek niemieckich może mieć jakąś realną wartość przy oczywistych miljonowych wydatkach republikańskiej armji? Dowiaduje się jednak od tego z tamtej strony, że wiadomości ze świata o oporze przeciwko faszyzmowi przyjmowane są jak chleb, że tych 85 marek ma być posłannictwem pracującego narodu niemieckiego. Więc niema więcej zwątpień, bo nie jest sam, bo jest ogniwem mocarnego łańcucha, bo ta drobna suma, od ust odebrana, to dowód, że Niemcy nie zostały zupełnie upodlone, że wielki naród niemiecki nie tylko myśli i czuje, ale i walczy. Ale jak długo to jeszcze potrwa? „Właściwie odzwyczaiłem się od tego — odpowiada bojownik o prawdę — by się o to pytać i na to odpowiadać. Cóż to jest „długo", kiedy przyjdzie po nas coś całkiem nowego, jak jeszcze nigdy". Chłop buduje dom; by zebrać na materjał, oszczędza całe życie, ale nie wie, czy mu wreszcie sił starczy, by go postawić. Jeśli nie on, to postawią dzieci jego i w nim zamieszkają. Tak buduje swój dom naród niemiecki, nie bojąc się, by w nim później straszyło od jęków mordowanych.

Przelana krew jest już nie tylko cementem spójni, ale i siłą żywotną, która porywa innych, by zapełnili wyrwane luki. Nawet ta, bezmyślna, zdawałoby się, śmierć głuchoniemej pastuszki, dziecka, któremu tchórzliwy i okrutny strażnik oddziałów SS. z tamtej strony granicy rozbija głowę o skałę. Jakikolwiek będzie wynik wojny hiszpańskiej — stwierdza Wolf — naród hiszpański jej nie zapomni.

Każdy krok, każdy błahy, nieznaczący czyn, posuwający sprawę słuszności choćby o milimetr naprzód, jest celowy, bo „dziesięć milimetrów daje centymetr". Trzeba umieć poświęcać wszystko nawet dla drobnych spraw, bo komulując się, przyśpieszą one nadejście wolnego jutra. Do osobistego przeciwstawienia się podłości i niegodziwości wielu, choćby to chodziło o sprawę małoznaczącą i niewspółmierne było ze skutkami, które za nią grożą, trzeba większej odwagi niż do szaleńczych wyczynów w tłumie. Zaś „największej odwagi potrzeba, by myśleć... by myśleć i podporządkować się myśli".

Jest w książce Wolfa wiele prawd, które nie są frazesami. Jest gorkijowska prostota; podskórny motyw „Matki" przewija się przez całą powieść. Niesposób pokrótce nawet wyliczyć wielu problemów, epizodycznie rzuconych i zwarcie osadzonych. Przedewszystkiem jednak rodzi się w nas optymizm, mimo czasów pogardy, i niezachwiana wiara w przyszłość słusznej sprawy, choćby ta przyszłość miała być jeszcze daleka. Optymizm jest tak wielki, iż nie doznajemy nawet uczucia żalu, że granica sudecko-niemiecka dziś już nie istnieje. Dowiadujemy się przecież, że nie wszyscy Niemcy sudeccy tego chcieli, że nie wszyscy wołali do Runcimana: „Lieber Lord, mach uns frei von der Tschechoslovakei" (Drogi lordzie, uwolnij nas od Czechosłowacji).

Pisarze niemieccy na emigracji opisują okrucieństwa faszyzmu, straszliwe przejścia ludzi, którzy się z tego piekła wydostali. Zbiegowie ci, szczęśliwi, że oddychają wolnością krajów demokratycznych, biorą się do każdej pracy, starając się jak najprędzej zapomnieć o koszmarze.

Są jednak ludzie, którzy szczuci jak psy, ranieni przy przejściu granicy, rzucają łatwą pracę, wygody i swobodę w innym kraju, by z dynamitem własnego serca i jedynej prawdy, niepewni, czy ich zaraz śmierć nie spotka, wrócić — do faszystowskich Niemiec.

I to dodaje otuchy.

Karol Hefter

*) Friedrich Wolf. Zwei an der Grenze. Roman. Verlag Oprecht Zürich/New York.

SAMI CO NASZE WEŹMIEMY

Wiedzą o tem dobrze sami chłopi, wiedzą i ci co sobie ziemię chłopską przywłaszczyli. Chłopom brak ziemi, obszarnikom pieniędzy. Pomiędzy wsią a dworem toczy się odwieczny bój o ziemię, z którą chłop związany jest życiem, chlebem i sercem, a obszarnik — pieniądzem. Siła wielkich posiadaczy nie wypływa z ziemi, ale tkwi w ludziach, co na niej pracują — w chłopach.

I chłopi to już zrozumieli.

Ostatnie lata to walka polityczna gorączkowa, to już jakby ostatnie pomyślenie, gdzie w niecierpliwości same ręce chwytają się drąga. Sili się jednak myśl chłopska, żeby tak jakoś po ludzku, po chłopsku ziemię marnotrawcom odebrać. Nie tak to łatwo gołemi rękoma wyrwać zdobycz wilkowi, ale chłopi uwierzyli w zwycięstwo gromadnego współdziałania.

Parceluje się gdzieniegdzie pola dworskie, ale któż z bezrolnych chłopów może sobie pozwolić na kupno kawałka ziemi? A tyle jest we wsi ludzi młodych, co nawet chałupy nie mają na czem postawić. Cóż robić? Trzeba się ograniczać, trzeba szukać jakiejś drogi, jakiegoś wyjścia z błędnego koła. Tyle jest organizacyj, a nijak nie zmienia się na lepsze. Zdaje się nawet pogarszać.

A jednak nie wolno się zniechęcać, trzeba jakoś żyć, żyć dzisiaj i jutro. Swoją drogą walka o reformę rolną bez odszkodowania, a swoją drogą to co już dziś wspólnemi siłami osiągnąć można. Tak sobie myślą we wsi i tak sobie myśleli przed paru laty chłopi w Gaci koło Przeworska, chłopi ci najbiedniejsi, co z koszykarstwa jeno żyli. Zorganizowali się w spółdzielnię koszykarską, dla wspólnego zakupu surowca i masżyn pomocniczych oraz dla zbytu swoich wyrobów.

Niebardzo im to szło, ale wierzyli w swoje siły i pracowali wytrwale. Szczasem ich wyroby zyskały uznanie i zbyt u prywatnych kupców. Ale koszykarze — spółdzielcy postanowili pominąć pośredników, wyzyskiwaczy i znaleźć własnych odbiorców.

Wysłali więc swego najczynniejszego członka, by zebrał po Polsce adresy nabywców. I cóż? Człowiek ten był dotychczas sprężyną spółdzielni, po powrocie do wsi zmienił się nie do poznania. Spółdzielni adresów nie podał, sam zaczął prywatnie wysyłać swoje wyroby wiadomym odbiorcom, a nawet rozpoczął walkę ze spółdzielnią.

Nic tak nie rozbija ludzkich poczynań jak zawiedzione zaufanie. Przyszło wielkie rozczarowanie i zniechęcenie, ale przyszło i odprężenie. Koszykarze zrozumieli, że zawiedli się na jednostce, na człowieku, ale nie na sprawie. Rozpoczęli na nowo z większą jeszcze zaciętością. W tym czasie stanął w Gaci Uniwersytet Ludowy, a potem Spółdzielnia Zdrowia w Markowej. Poprzez wieś powiał nowy wiatr, zbudził się nowy duch. Kierownik Uniwersytetu Chrzestny Solarz przyszedł koszykarzom z pomocą i radą.

Dźwignęli się — poszli dalej.

Niedawno temu odbyło się uroczyste odebranie 10 morgów ziemi, zakupionej przez Gacką Spółdzielnię Koszykarską z parcelacji miejscowego dworu.

Na wielkiej łące zebrała się cała wieś, ojcowie i młodzi, by wspólnie nacieszyć się, naśpiewać. Bo jakżeż się nie radować? Pole, na którem pańszczyznę się odrabiało, na którem nieraz ojce baty dostawali — to pole jest chłopskie, znowu jak dawniej — gromadzkie. Z piersi wybucha radosna pieśń spółdzielców, padają proste a mocne słowa Chrzestnego: „Spółdzielczość, to siła przed którą świat cały ugiąć musi kolana. Stary czas kończy się dobrowolnie a zaczynie się nowy. Chłop zaczyna wychodzić z błota na twardą ziemię, na szeroki świat".

Bezrolni, co najwyżej dwumorgowi koszykarze, mieli zaledwie 400 zł i porwali się na kupno dziesięciu morgów łąki. Porwali się i znaleźli sposób, aby swe zamiary doprowadzić do końca. Przekonali się, jak wielką siłą jest zorganizowana gromada, przekonali się, że jest jeszcze przed chłopem otwarty świat, jest droga, którą trzeba zdążać, aby nam wszystkim było lepiej — jest spółdzielczość.

Potrzeba tylko myśli, inicjatywy i wytrwałości.

Dziesięć morgów ziemi — to naprawdę osiągnięcie. To nie oklaski po przemówieniu — to krok w przyszłość. To 10 wagonów wikliny, czyli połowa zapotrzebowania spółdzielni, to 2 tysiące złotych dochodu rocznie na nowe kursy, na maszyny pomocnicze, to możliwość stwarzania warunków pod inne, nowe poczynania. Praca i chleb dla bezrolnych, a przedewszystkiem wiara we własne gromadzkie siły.

Rozśpiewana gromada przeszła poprzez dworskie dziedzińce. Na budynkach widnieją jeszcze herby wielkopańskie, ale niedługo rozpocznie się tu gromadna praca koszykarzy wśród śpiewu i radości.

Ponad polami, nade wsią leci mocna pieśń chłopska:

Nikt nie miał nad nami litości,
My także jej mieć nie będziemy,
Nikt nie chciał dać ziemi nam naszej
[własności,
My sami co nasze weźmiemy.

„Ta pieśń ma w sobie siłę — mówi Chrzestny — w tej pieśni niema nienawiści, ale jakiś bezwzględny nakaz historji — nieugięte chłopskie przekonanie: co nasze weźmiemy".

Paul Wojtyna

Wśród nowych powieści

Tadeusz Goździkiewicz. Głosy zdaleka. Powieść. (Łowicz), 1938; str. 372. — **Rafał Lenk. Na tyłach.** Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 242 i 2 nl. — **Tadeusz Malicki. Ludzie z gór.** Opowiadania. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1939; str. 263 i 5 nl. — **Kazimierz Leczycki. Nowele.** Wilno, Związek Zawodowy Literatów Polskich, 1939; str. 72. — **Aleksander Kalina. Człowiek z Bożej łaski.** Warszawa, „Nowa Powieść", (1939); str. 249 i 7 nl. — **Adam Madler. Irena Munk.** Warszawa, F. Hoesick, 1938; str. 319 i 1 nl.

Najgorszy w powieści **Goździkiewicza** jest tytuł. „Głosy zdaleka" — brzmi to mętnie i słodkawo, jak sentymentalna, drugorzędna powieść kobieca. Tymczasem to, co się ukrywa pod tą nieudaną maską jest żywe i rzeczowe. Powieść Goździkiewicza należy do t. zw. „środowiskowych", autor z temperamentem urodzonego prozaika opisuje byt nauczyciela wiejskiego, zagrzebanego gdzieś w łowickiem, skazanego na drobne pijatyki, na karcięta i t. p. sposoby zabijania czasu, popularne dziś w całej Polsce. Na tle tego nieciekawego (choć ciekawie przedstawionego) bytowania codziennego wyrasta parę spraw wyższej kategorji: bohater się zakochuje w wieśniaczce i żeni się z nią, usiłuje prowadzić t. zw. pracę społeczną, zderzając się, oczywiście z omnipotencją lokalnego księdza, a później policji i t. d. Ta sprawa ostatnia nie wypadła, rzecz prosta, zbyt przejrzyście, natomiast wątek erotyczny należy do najlepszych w powieści. Badacze motywów literackich powinni zapamiętać książkę Goździkiewicza: jest ona dobrym „pendant" do odpowiedniego motywu „Wesela". Autor z dużym objektywizmem i taktem potrafił przedstawić tragizm nauczyciela wiejskiego, zdeklasowanego przez swój awans społeczny: bohater jest synem bezrolnego chłopa-wyrobnika, kosztem ogromnych wysiłków zapracowanej matki kończy seminarjum nauczycielskie i trafia na wieś, brak kobiet z t. zw. wykształceniem i ożenek z wieśniaczką, odtąd stopniowo wzmagające się piekło domowe, aż do rozpaczliwych prób ucieczki do kobiet „swojej sfery", t. j. także nauczycielek. Konflikt ten robi szczególnie silne wrażenie, dzięki umiarowi autora, który unika oczerniania żony bohatera, unika cech przypadkowych, stara się wykazać całą typowość wypadku.

Powieść Goździkiewicza uzmysławia nam całą odrębność tej drobnej warstewki społecznej, jaką jest nauczycielstwo wiejskie, wyrosłe nagół z chłopa, ale z nim niezwiązane, oderwane od t. zw. inteligencji, ale usiłujące typ swego życia do niej dopasować. Goździkiewicz nie tylko potrafił przedstawić tragizm tej sytuacji, ale także zarysował drogę wyjścia. Henryk Bień, młody chłop, który ukończył jakąś tam szkołę rolniczą i teraz pała pasją reformatorską — oto jest naturalny sojusznik nauczyciela. „Głosy zdaleka" dzieją się 15—12 lat temu, dziś takich Bieniów z pewnością jest więcej, postarały się o to „Wici".

Powieść napisana jest żywo, autor wykazał w niej rękę śmiałą, niejedna ze sztuczek technicznych, z których tak dumni są nasi „czołowi, młodzi", u Goździkiewicza tylko dlatego nie rzuca się w oczy, że niewiele sobie on ceni takie właśnie sztuczki techniczne. Taki np. epizod z matką bohatera, skonfrontowaną od strony zrazu syna, a potem ojca — zawiera dość ładunku na trzytomową powieść „psychologiczną". Dobrze, że autor nie wysunął tej sprawy na czoło, ale szkoda, że jednak nie postarał się jej uwypuklić: jest to motyw na swój sposób naprawdę wstrząsający.

Goździkiewicz posiada i tę cechę powieściopisarza, jaką jest zdolność wywoływania plastycznej wizji danego środowiska. Wieś łowicka jest tu przedstawiona bardzo przekonywająco. Autor zachował konsekwentnie aspekt bohatera, nie podszywa się on pod chłopów, patrzy i mówi oczami inteligenta-nauczyciela.

Jeśli „Głosy zdaleka" obiecywały mniej niż dały — to powieść „Na tyłach" **Rafała Lenka***) nie dotrzymuje tego, co przyrzeka jej tytuł. Autor nie usiłuje odtworzyć atmosfery „tyłowej", ograniczając swój temat do dziejów przytułku dla żydowskich sierot wojennych. Fakty, które przytacza, są zupełnie potworne, gdyby nie to, że co pewien czas po dziś dzień wybuchają tu i ówdzie skandale na tle katowania dzieci w przytułkach, opisy Lenka wypadałoby zakwalifikować, jako „artystyczną" przesadę.

„Na tyłach", mimo usiłowań autora nadania książce kształtów artystycznych, pozostanie raczej dokumentem socjalnym, dlatego też byłoby ważne wiedzieć, jak daleko sięgała ingerencja fantazji autora, ile z tego, co tak w tej książce porusza, autor zapamiętał z życia, a ile z lektury. Szczególnie ciekawa jest sprawa „instytucji" niewolnictwa. W książce Lenka trzej chłopcy z zakładu sprzymierzają się w związek „czarnej ręki" i dzięki nieprawdopodobnym metodom wychowawczym, stosowanym przez dyrektora zakładu osiągają stopniowo władzę nad resztą dzieci. Metody te są dość proste: dyrektor wyznacza dużurnego, który siedzi w klasie, pilnując, by był spokój. Po paru godzinach dyrektor żąda nazwisk tych, którzy hałasują: jeśli dyżurny poda nazwiska — to winni dostają w skórę, jeśli zaś oświadczy, że był spokój, to sam dostaje w skórę. Otóż dyżurny i dwaj jego koledzy sprawę postawili na płaszczyźnie zracjonalizowanej: poprostu wyznaczyli kolejkę tych, którzy będą bici, z kolejki skreślano tylko tych, którzy się wykupią jedzeniem czy pieniędzmi. Stąd powstał kapitał zakładowy spółki, zaczęło się pożyczanie jedzenia na kredyt (były to czasy wojennego głodu), a wreszcie opłacanie jedzeniem różnych posług, które wykonywali dla swych „panów" specjalnie zaprzysiężeni „niewolnicy". W powieści sowieckiej p. t. „Republika Szkid" (jest polski przekład) motyw podobny został bardzo rozbudowany, ciekawe, czy autor „Na tyłach" zna tę powieść i czy wpłynęła ona na jego własny utwór. W wypadku zupełnej samodzielności książka Lenka mogłaby być dobrym materjałem dla pedagogów.

Lenk posiada zacięcie narratorskie, niektóre epizody mają mocny, groteskowy koloryt, motywy obyczajowe są nagół ciekawe i plastyczne. Ale na powieści ciąży autor, nie potrafił on zdobyć się na t. zw. aspekt objektywny, w wielu miejscach szczególnie ponurych pozwala sobie na różne refleksje, które, choć t. zw. „szlachetne" i słuszne, z jednej strony rozwadniają i zaciemniają kompozycję, z drugiej strony osłabiają czysto powieściowy efekt danego epizodu. Jest to główna racja traktowania „Na tyłach" w pierwszym rzędzie jako dokumentu, a dopiero potem jako powieści.

Opowiadania **Malickiego** wywodzą się bezpośrednio z Tetmajera. Nie tylko dlatego, że tematem ich są górale z Tatr i okolic, ale także, że nie są to górale dzisiejsi, ale, jak u Tetmajera — bohaterzy dawnych, lepszych, zbójnickich czasów. Jest to niewątpliwy minus tej książki, utrzymanej zresztą na poziomie conajmniej poprawnym. Tematy tetmajerowskie i charakterem i, czasem, nawet akcją Malicki zazwyczaj poprostu rozwadnia, usiłując wielosłownemi opisami nadrobić zwartość i logikę tetmajerowskiej noweli, której dorównać nie potrafi. Zarówno z punktu widzenia etnograficznego, jak i artystycznego znacznie lepsze byłoby sięgnięcie do czasów dzisiejszych: W ten sposób autor uniknąłby niekorzystnych dla siebie porównań ze swoim mistrzem, zyskując zarazem ważny efekt kontrastu z dobrze znaną czytelnikowi atmosferą Tatr tetmajerowskich. Niestety, trzeba dużej odwagi, by przełamać tak ustalony kanon artystyczny, jakim jest literatura „zbójnicka". Malicki na to się nie zdobył.

Gwara, którą mówią jego bohaterzy, jest tak ekscentryczna w stosunku do języka literackiego, a nawet innych narzeczy środkowopolskich, że urealnia plany tak czy inaczej pojętej unji polsko-słowackiej. Jeśli górale tatrzańscy mówią tak, jak im każe mówić Malicki, to przeszkód językowych w tej sprawie nie widzę, w każdym razie przeciętny Polak łatwiej dogada się ze Słowakiem, niż z tymi „Ludźmi z gór".

Bodaj najbardziej udany w książce jest „Wojtek Mateja", gdzie autor zdobył się na dobrze postawiony zrąb fabularny, piękne opisy przyrody i wcale mocne akcenty liryczne w obrazie więzionego zbójnika. Dobrze wypadł także moment psychologiczny reakcji górali na morderstwo, popełnione przez szanowanego dotychczas zbójnika na osobie dziewczyny, która przechowywała skradzione mu korale. Autor trafnie podkreślił naturalne odczucie sprawiedliwości: lud bardzo jest czujny na każdą przesadę kary w stosunku do winy. Podobnie przesadna w rozumieniu ludu kara za ten mord budzi w nim znowu pewien przypływ sympatji do zbójnika.

W innych opowiadaniach lepiej wypadły tylko poszczególne fragmenty, obrazy i sceny. Opowiadania te grzeszą brakiem konturów fabularnych i rozwlekłością.

„Nowele" **Leczyckiego** dzieją się w Ameryce Południowej, w Argentynie i Urugwaju, gdzie autor przebywał w charakterze redaktora polskiej gazety emigracyjnej. W gruncie rzeczy nie są to nowele, raczej możnaby je nazwać „obrazkami z natury". Należy żałować, że autor, który dużo widział i, jak wynika z tych „Nowel", umie wiele spostrzec, nie napisał na ten temat większej książki reportażowej, brak nam bowiem w dalszym ciągu dobrych dzieł o Ameryce Łacińskiej.

Najlepszą w książce jest nowela p. t. „Sierżant z Chaco", autor tu naprawdę osiągnął zwięzłość nowelową i nowelową pointę. Sama zresztą fabuła jest tu pełnowartościowa. Inne opowiadania są mniej wykończone. „Dzień pracy redaktora w Ameryce" przypomina nowele Twaina i Londona, ale też jest może najbardziej szkicowy. Inne także robią wrażenie niewykończonych fragmentów.

Może najciekawszą cechą tej książki jest przewijający się tu i ówdzie motyw podwójnej nostalgji. Chyba jest to najbardziej tragiczna strona emigracji: tęsknota za krajem ojczystym po powrocie bynajmniej nie znika, zamienia się na tęsknotę za tą drugą, tymczasową ojczyzną.

Aleksander Kalina powieść swoją nazwał „Człowiekiem z Bożej łaski". Jest to wyrazna przesada, bohater Kaliny nie jest jeszcze wcale człowiekiem, jest poprostu szczeniakiem. Autor opisuje życie średniozamożnego warszawskiego młodzieńca w okresie ostatnich lat gimnazjum i pierwszych lat uniwersytetu. Pierwsze miłostki, praca w nielegalnych organizacjach, próby poetyckie, starania o posadę: słowem wszystkie niezbędne atrybuty dzisiejszego życia młodzieży, poza, bodajże, sportem.

Autor ma pewne zadatki prozatorskie: daje sobie radę z techniką skrótów, tak niezbędną w powieściach bez akcji, posiada pewną żywość narracji i t. d. Jak narazie jednak brak mu wielu niezbędnych dla powieściopisarza umiejętności. Nie mówiąc już o epidemicznym zaniku w dzisiejszej powieści t. zw. szerokiego oddechu, sztuki budowy wielkich scen epickich, ani o upadającym kunszcie charakterotwórstwa, należy wypomnieć Kalinie drażniący egocentryzm, brak epickiego dystansu wobec własnego bohatera, co w połączeniu z niedojrzałem wartościowaniem jego wyczynów, wywołuje szczególną antypatję w stosunku do bohatera powieści, a więc efekt przez autora chyba niezamierzony. Oczywista, wynika to z tego, że nie tylko bohater ale i jego twórca są chyba jeszcze bardzo młodzi. Liczmy, że dojrzeją, jak o tem świadczą pewne partje książki.

Dodajmy, że przytoczone w książce próbki poezyj bohatera są słabe, to też decyzja jego porzucenia pisania wierszy wydaje się bardzo trafna.

„Irena Munk" **Adama Madlera** jest książką na swój sposób bardzo szczególną. Będąc utworem niewątpliwie słabym, nie przypomina ona popolitych sztampów grafomańskich, autor jej zdobył się na swoje własne oblicze.

Trudno je odcyfrować. Może najbardziej rzuca się w oczy przemożny nalóg watowania i woalowania. Powieść Madlera, jak ubrania eleganckich mężczyzn, jest wypchana watą nieistotnych epizodów. Wyrzućmy z niej ¾ stronic, a jej ciężar gatunkowy nie zmniejszy się ani o miligram. Konflikty psychologiczne, które tworzą jej kościec, same w sobie nie lepsze ani gorsze od 10.000 innych konfliktów powieściowych zostały tu rozdęte do rozmiarów Bóg wie jakich wydarzeń.

Autor posiada zgoła osobliwy zwyczaj nadużywania najrozmaitszych form nieokreślonych. „Chęć osobista lub nierozsądny upór w wyjątkowych wypadkach wpływają na postanowienia", „skupiona uwaga, wywołana nadbiegającym dźwiękiem ostrzegawczym i baczność przy wymijaniu przerwała subtelną grę dyskretnej obserwacji", „chwile upływały na ciekawem obserwowaniu nasuwających się zjawisk, wyłaniających się zdarzeń. Zmienność odbieranych wrażeń wywoływała, jak dawniej uśmiech..." to nie są zdania specjalnie dobrane. Tak napisana jest cała, 320 stronicowa książka. Cóż za dysplastyczność, co za lęk przed nazywaniem rzeczy po imieniu! Szczególnie zabawne są dialogi Madlera:

— „Co ci jest Edmundzie? — spytała Irena

— Obcość zewsząd wybiega mi naprzeciw.

— Co ty... — rzekła cicho

— Przecież wyczuwam.

— Urojone wyobrażenia.

— Więc sądzisz?..."

Ta wymuszona dyskretność symuluje głębię i niezwykłość spraw, które są bardzo zwyczajne i niezbyt ciekawe. Żywsze nieco są nieliczne zresztą sceny pracy w fabrykach łódzkich.

Wiele wysiłku musi wydobyć Madler by zerwać ze swoją zastarzałą, zdaje się, manierą. Bez tego wysiłku jednak nie uczyni on napewno kroku naprzód.

Jerzy Putrament.

*) Rafał Lenk — to zapewne pseudonim. Ciekawe, czy posiadacz jego w chwili obioru wiedział o łódzkim powieściopisarzu, który się nazywa Rafał Len? Jeśli tak — to należałaby mu się jakaś nagana, jak za naruszenie cudzej marki fabrycznej.

WŚRÓD CZASOPISM

Fantana, miesięcznik literacko-artystyczny powstała kilka lat temu w Katowicach, skupiając niemal wyłącznie młodych śląskich pisarzy nacjonalistycznych. „Fantana" kładzie duży nacisk na sprawy regjonalne Śląska, na związki ze Słowiańszczyzną, głównie z Czechami, Łużyczanami i Słowakami. Nacjonalizm pisarzy „Fantany" jest mniej chucpowaty i trochę inteligentniejszy od tego z „Prosto z Mostu". Jest wśród nich kilku naprawdę utalentowanych poetów (Jan Baranowicz, Wilhelm Szewczyk).

Ostatni (5) zeszyt poświęcono głównie sprawom walki żywiołu polskiego z naporem niemieckim. Mówią o tem same tytuły artykułów: Jana Kazimierza Zaremby „Między niemieckim a polskim mitem", Edwarda Kostki „Jakim (?) był Śląsk w XIX wieku", „Kazimierza Popiołka „Pierwsza walka z niemczyzną na Śląsku"; bojowe, patrjotyczne wiersze drukują: Jan Baranowicz i J. K. Zaremba. Wilhelm Szewczyk daje przekład wiersza poetki łużyckiej Miny Witkojc.

W jednym z artykułów znajduje się takie rozróżnienie dwu nacjonalizmów: jeden „widzi cel sam w sobie", drugi „formułuje się jako ogniwo, spinające jednostkę z Bogiem. Różnica zasadnicza. Nacjonalizm sam w sobie reprezentuje w czystej postaci hitleryzm, dlatego celem ostatecznym jest tu naród niemiecki, dlatego jest on dla siebie zarówno kulturą, jak i moralnością i religją. Młody nacjonalizm polski za cel najwyższy stawia sobie Boga. Jednostka przez Naród dąży ku celom ostatecznym, wiecznym, ku prawdom, które są bezwzględne, ku Bogu. Naród polski ma promieniować cywilizacyjnie, ma głosić prawdę i zespalać inne narody słowiańskie nie dla siebie, jako Narodu panów, ale wspólnego marszu ku celom, których i on jest sługą" — i t. d.

Zakłamanie? Bzdury? Nie, sam autor mówi, że to jest „uzasadnienie metafizyczne". Jakżeż łatwo faszyści polscy wynajdują subtelne i nieuchwytne różnice między sobą a hitleryzmem, gdy widzą, że zbyt bliskie z nim pokrewieństwo kompromituje ich w oczach całego społeczeństwa.

Kobieta Wiejska. Ukazał się już drugi numer tego pożytecznego chłopskiego miesięcznika dla kobiet. Redaktorką i główną sprężyną wydawniczą jest Hanna Ciekotowa, żona lekarza spółdzielni zdrowia w Markowej. Pismo jest niezależne, popularne, daje wielę praktycznych wskazówek, pragnie wychować nowy typ kobiety wiejskiej, może zdziałać wiele dobrego, dlatego zasługuje na poparcie i rozpowszechnienie. Adres: Markowa koło Przeworska, Spółdzielnia Zdrowia.

Młoda Myśl Ludowa, miesięcznik, poświęcony sprawom ruchu ludowego, jest jednem z ideologicznych i teoretycznych pism, stojących blisko Stronnictwa Ludowego i „Wici". Brak określonych, naukowych podstaw w programie gospodarczym, społecznym i politycznym powoduje pewną mglistość postulatów, wysuwanych przez ludowców; wprawdzie są pewne wysiłki, aby stworzyć własny program na mocniejszych podstawach (agraryzm), narazie jednak rozwiewają się w tęsknotach i zbyt często w frazesach. Ludźmi tymi kierują raczej szlachetne uczucia i porywy, aby zmienić ciężką dolę wsi, a nie świadomość, jak gruntownie i całkowicie należy odwrócić ten zły los na lepszy.

Stanisław Miłkowski, jeden z ideologów ruchu ludowego, zastanawiając się (w art. „O właściwe pojmowanie demokracji") nad istotą demokracji, dochodzi do wniosku: „Demokracja jest przedewszystkiem systemem życia — a nie tylko formą ustroju politycznego państwa". „Demokracja przyszłości — pisze dalej — to demokracja twórcza, demokracja nie tylko polityczna, ale i społeczna, demokracja ofensywna. Szczególnie taki charakter musi mieć demokracja, wyrastająca na podłożu ruchu ludowego, tworzonego przez usamodzielniającą się warstwę chłopską".

Pozatem o sprawach aktualnych wsi piszą: T. Burczyn, Cz. Grzegorski, W. Janczak, M. Orzeł i inni. Najbliższy numer ma

być poświęcony sprawom wprowadzenia maturzystów w zagadnienia ruchu ludowego.

Światło, miesięcznik socjalistyczny, jest jedynem dziś poważnem pismem ideologicznem i teoretycznem Polskiej Partji Socjalistycznej, spełnia też niewątpliwie pożyteczne zadanie. Poświęca jednak za mało miejsca podstawowym zagadnieniom, tworzącym zręby socjalistycznego poglądu na świat. Obecnie poza sprawami taktyki socjalistycznej należy częściej zajmować się sprawami zasadniczemi; faszyzm trafia do słabo lub niedostatecznie uświadomionych poprzez „krytykę“ ideologji marxistowskiej. Mało także uwagi poświęca się sprawom naszego kraju i roli w nim ruchu socjalistycznego. Polemiki i dyskusje o zagadnieniach zasadniczych i aktualnych wniosłyby ferment umysłowy i ożywienie. Teraz czas nie tylko na obronę przed faszyzmem, ale także na ofensywę.

W ostatnim (4—5) numerze „Światła“ Juljan Hochfeld drukuje artykuł „Dziś i jutro socjalizmu“, Stefan Arski „Linja obrony ideologicznej“, Stanisław Chudoba „Świat chce się bronić“, Henryk Kora „Oblicze społeczne dzisiejszej szkoły“, A. Star „Potencjał wojenny Trzeciej Rzeszy“ (na podstawie książki Fritza Sternberga „Die deutsche Kriegsstärke“), R. Nebelski „Spór chińsko-japoński“. Jak wskazują tytuły, wszyscy niemal autorzy zajmują się sprawami dzisiejszej walki z imperjalizmem i faszyzmem.

Vir

WŚRÓD POETÓW

Antoni Bogusławski. Kwiat wiśniowy. Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 97 i 1 nl. — **Albin Dziekoński. Zielone Mogilowce.** Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 130 i 2 nl. — **Witold Januszewski. Jaskółczy niepokój.** Warszawa, F. Hoesick, 1939; str. 28.

Nie można wytworzyć sobie jasnego obrazu współczesnej poezji polskiej, ani też wyczuć dostatecznie jej prądów podskórnych, nie obserwując dziejów przenikania i opadania wpływów poetyckich na ogólną, najszerzej pojętą produkcję literacką. Promieniowanie nowych, twórczych idej poetyckich nawet w prymitywnym pod względem artystycznym utworze przy często naiwnie pojętym konserwatyzmie może wywołać pewne nowe wartości, których w żadnym wypadku bagatelizować nie można. Ileż to razy w dziejach literatury takie niezauważone, podskórne nurty stawały się zwiastunami nowych przełomów, wyrażały one nie mniej od oficjalnie uznanych prądów, myśli i dążenia swojej epoki. Trzeba patrzeć na te szare, niezauważone i zbagatelizowane książki bezstronnie, trzeba wczuć się w pulsowanie ich rytmu, chociaż pulsuje tak słabo. Zresztą gdyby nawet żadnych nowych wartości nie można było dostrzec, to i w takim wypadku książki te ważne być muszą dla tych, którzy wysnuć chcą ogólne, prawdziwie naukowe wnioski. Oczywiście uwagi te ogólne nie dotyczą bezpośrednio omawianych książek, ponieważ wybór tych tomów jest jak zwykle w takich wypadkach przypadkowy, a dla wysnucia jakichkolwiek bądź wniosków posługiwać się trzeba obszernym materjałem.

Dziwne uczucie ogarnia przy czytaniu książki Antoniego Bogusławskiego „Kwiat wiśniowy“. Wyobraźmy sobie szlachcica z epoki Pola albo Kondratowicza, gaworzącego potoczyście i barwnie o kampanji niedawno odbytej, przy kuflu miodu złotego, szepczącego na ucho zacnej sąsiadce o tem „Jak Pani Boska djabła wygnała“, albo zabawną dykteryjkę o „Pani, co jej Turczyn nie chciał“. Zdawałoby się, że postać taka dawno już zginęła, ale żyje jeszcze. Co innego, że zacny imci pan Bogusławski, żołnierz dzielny i gospodarz niezgorszy, zapewne niezbyt dobrze czuć się musi w epoce pary, elektryczności i fosgenu. Tęskni do onych lat, do „Drzewiej“ i układa „Raptularzyk szlachecki“. W okresie Kondratowicza zapewne dykteryjka „Jak Jegomość Pan Piecuchowski lenił się iść na Pasterkę“ podobałaby się, ale dziś posiada jedynie wartość nieporozumienia, podobnie zresztą, jak cała ta książka.

Książka Albina Dziekońskiego „Zielone Mogilowce“ znacznie odbiega od ogólnej tonacji utworów Bogusławskiego. Dziekoński nie razi anachronizmami, nie układa gawęd, nie straszy djabłem. Zna wielu poetów powojennych i umie wiersze swoje utrzymać na pewnym artystycznym poziomie. Z Bogusławskim łączy go szlacheckość, umiłowanie swego dworu, swojej pańskiej zagrody, czyteż posiadłości. Z okien dworu swego ogląda świat, przyrodę, notuje swoje spostrzeżenia, zbiera notatki-wiersze z dnia na dzień, układając je w swego rodzaju pamiętnik liryczny. Żyje codziennością, oddycha nią i codzienność stara się w wierszach wyrazić. Gdyby autor był bardziej odkrywczy i bardziej spostrzegawczy, zapewne i taka postawa mogłaby przynieść ciekawe wyniki. Jednolity, wyrównany poziom wierszy, brak niepokoju dla znalezienia nowych wartości artystycznych, wytwarza szarość. Wiersze te niekiedy nawet przyjemne w ogólnej kompozycji książki znacznie tracą na swojej wartości. Odkrywanie tajemnic codzienności musi być doprawdy twórcze, ażeby mogło nadawać się do poezji, w przeciwnym bowiem razie tego rodzaju wiersze mają wartość przeważnie autobiograficzną.

„Jaskółczy niepokój“ Witołda Januszewskiego wyrasta jakby ze szpitalnej sali. Obrazy są gorączkowe, niepokojące, przechodzą niekiedy w halucynacje i omamy. Niepokój człowieka chorego, zagubionego w sobie i w świecie rzeczywistym, każe szukać ratunku w świecie zaziemskim, w postaci jak się wyraża „swego Boga“, w starosłowiańskich znachorach i szeptunach. Stale powtarza się motyw podwójnego świata, stale przewija się chęć ucieczki w góry, w błękit. Chciałby uciec jak balon niewolny, zanim misa ziemi wklęsła i liny ziemskich pępowin nie ściągną go do ziemi: dlatego straszny jest „Głód skazańców“.

„Straszny, straszny jest trzewny niepokój
ten niczego już niesyty głód.
Byłem dzisiaj głodny, bardzo głodny,
chociaż jadłem, chociaż żarłem wbród“.

Wiersz „Kwiaty i noc“, bodaj najlepszy w tym tomie, doskonale charakteryzuje nastrój poety i ogólną tonację książki. Uderza w tym wierszu niezwykła, jak na młodego poetę konsekwencja metafor, pointa wynika logicznie z wiersza. Również makabryczne obrazy wiersza „Przemyt“ są całkowicie usprawiedliwione ogólną wizją. To ucieczka od jawy, to tragiczne zagubienie siebie.

„Czekam, żeby mi ostrze głowę odcięło od [jawy
Wiklinowy mokry kosz na owoce
przyjmie ją:
Tak opadnie miękko.
Oto przerwano ostatnie struny. Czas odbić [od jawy“.

Albo inny obraz z tego wiersza: „wieczór na własnym mieczu skonał samobójczo“, to już wizja natrętna, albo halucynacja. Zagubienie się w sobie każe mu w „Walce o pieśń“ wadzić się z Bogiem i na chwilę wyczuć w sobie moc boską. Być może jest to nawrót do tradycji romantycznej, o czem świadczy również tytuł książki wyjęty z utworów Słowackiego.

Wiersze Januszewskiego, będące wyrazem głębokich przeżyć, pełne niepokoju, mają w sobie dużo świeżości. Te wizje notowane na gorąco są sugestywne. Ruchliwa wyobraźnia wywołuje obrazy, wynikające z przesunięcia się dwu rzeczywistości — życia realnego i świata marzeń, zresztą owo życie to również „świat niedotykalny“.

Jan Śpiewak

Djablik metafizyczny

Proszę o usunięcie w moim artykule „O spotkaniach z książkami“ („Sygnały“, nr. 69) b. r. następujących niedopatrzeń korektorskich:

w ustępie piątym artykułu, zamiast słów: „(dosłownym, nie metafizycznym)“ — ma być: **„(dosłownym, nie metaforycznym)“**;

w ustępie dziewiątym artykułu, zamiast słów: „w aspekcie naszego serca“ — ma być: **„w aspekcie socjalnym naszego serca“**;

w ustępie dziesiątym, zamiast słów: „nowego kolumba“ — ma być: **„swego kolumba“**.

Stefan Tudor

rys. K. Baraniecki



Noc człowieka

GLOSSY WOJENNE

CICHNIE WIATR OD ŁABY

W Berlinie zmarł prof. Aleksander Brückner. Pat, zwykle niezręcznie formułujący komunikaty, tym razem użył niezaprzeczalnie trafnego zwrotu: „stworzył w literaturze polskiej epokę“. W ostatniej, w perspektywie dziejowej najzwyklejszej fazie stosunków polsko-niemieckich, śmierć znakomitego slawisty ma wszelkie cechy dekoracyjności symbolu: umiera za Odrą i Łabą europejskiej miary znawca słowiańszczyzny, której wyspy jeszcze niedawno odnaleźć było można na podberlińskich Łużycach, w „Wendlandzie“ na zachodnim brzegu Elby — wyspy Drewian, Chełmian i Łączan. Nie wiem kiedy prof. Brückner miał swój ostatni wykład na uniwersytecie berlińskim, z katedrą jego padła jednak wielka wojenna pozycja w sporze słowiańsko - germańskim. Możnaby jego ostatni wykład przyrównać do ostaniego nabożeństwa w języku słowiańskim, odprawionego w 1751 roku w Wustrowie za Łabą. Nie łudzimy się by minister Rust obsadził kiedykolwiek tę katedrę, tem bardziej w dobie zaogniającego się konfliktu. Nie widzimy także na uniwersytetach naszych następców, których wiedza i dorobek naukowy mogłyby wysunąć na stanowisko autora „Dziejów kultury polskiej“ i „Słownika etymologicznego języka polskiego“. Aleksander Brückner należał do wymarłego już niemal pokolenia Bruchnalskich i Pilatów, do generacji naukowców, z którymi dzisiejsi docenci-przyczynkarze równać się nie mogą, których nie wychowają, bo żadnych szans ku temu nie mają, nasze „blokowane“ uniwersytety. Dlatego śmierć Brücknera, człowieka - epoki, jest stratą dla Polski i słowiańszczyzny, upadkiem pozycji, której nie wskrzesi starcie orężne.

STRATEGJA SZANTAŻU

Miljony, płynące już nie rokrocznie ale codziennie na zbrojenia przewyższają objektywnie kilkakrotnie wartość przedmiotów spornych między państwami. W świetle tych obliczeń jedno powiedzenie kanclerza Hitlera ma posmak prawdy: „że niema takich wartości, dla których opłaciłoby się prowadzić wojnę, a największe nawet zwycięstwo trzeba okupić tak wielkiemi stratami, iż nie dają się one wyrównać przez żadne zdobycze...“ Ale skądinąd wiemy, że ani jedno z oświadczeń kanclerza nie było prawdziwe a „Führer“ Trzeciej Rzeszy, który nie rozegrał ani jednej bitwy oko w oko na udeptanej ziemi, zwycięski swój pochód, począwszy od remilitaryzacji Nadrenji, zawdzięcza grze, z której całkiem wyeliminowano prawdę. W „historji wojen i wojskowości“ Adolf Hitler, kongenjalna karykatura Napoleona otrzyma wielki, specjalny rozdział; otrzymałby go nawet wtedy, gdyby umarł dzisiaj bez rozegrania wojny światowej, swojego nieuchronnego Doorn. Człowiek, którego Mackiewicz pasował na Napoleona XX wieku jest tylko kongenjalnem wykoszlawieniem małego cesarza; Bonaparte rozgrywał sławę swoją i wielkość na pobojowiskach Europy, strategją plain aire'u, Hitler zmienił mapę Europy doprowadzonym do perfekcji szantażem wojennym, „spacerami dywizyj“ wokół granic upatrzonej ofiary, dywersyjno-prowokacyjną pomocą mniejszości niemieckich. Wojna bez bitew, ideał marszałka Maurycego Saskiego, zręczne, długotrwałe manewry jak na szachownicy charakteryzują czas kończący krótkie wytchnienie powersalskie. Socjolodzy i wykładowcy szkół wojennych będą kiedyś mieli wdzięczne i pasjonujące zadanie stwierdzenia o ile epoka faszyzmu, ucisku, obozów koncentracyjnych i sztafet ochronnych „wodza“ wpłynęła na zanik ducha rycerskiego w strategji wojennej, na brak odwagi i rozegrania decydującej, otwartej bitwy, a na powstanie taktyki podstępu, szantażu, wojny lotniczej bez przeciwnika w Abisynji i jak najokólniejszych dróg ku zwycięstwu bez walki. Dróg w których nacisk zewnętrzny jest regulowany stopniem dokonanego rozkładu wewnętrznego. Dlatego wojna błyskawiczna, wychwalana przez generałów niemieckich jako „najbardziej humanitarna“ (w przeciwieństwie do wojny długoletniej), wysuwana przez nich jako konieczność ze względu na potencjał gospodarczy Rzeszy jest bluffem i fikcją. Może się ona udać jedynie w stosunku do nieproporcjonalnie słabego przeciwnika odosobnionego uprzednio dwustronnym układem, a błyskawiczne zajęcie Wiednia i Pragi było poprzedzone kilkumiesięczną wojną rozkładową od wewnątrz i fachowem przygotowaniem gruntu przez zdrajców. Wobec tych zmian zastosowanych w strategji przez feldfebla armji Moltkego i Hindenburga najwłaściwsze i najtrafniej oddające sytuację europejską będzie określenie Bączkowskiego, który pytanie „pokój czy wojna“ przyrównuje do pytania „czy budowla spopielana przy pomocy substancji chemicznej, nie wywołującej płomieni i dymu, pali się czy nie“. Na spory jednak wewnątrz budowli, których objektywna wartość jest daleko niższa od kosztów zbrojeń, wpływają widocznie inne, pozalogiczne czynniki. Mity „imperium Romanum“, mity „Herrenvolk'u“, mity o „posłannictwie rasy“, mity „Lebensraum'u“, tworzone przez ludzi, pchających narody w bratobójcze uściski. I tak jak miniona wojna była wojną narodów, wojną o samostanowienie, tak przyszła będzie wojną ludów, jej owocem musi być ich zemsta na podpalaczach, na twórcach wojennych mitów, ostateczne wywalczenie **samostanowienia ludu.**

PRAWDA ATLASÓW

Był zwyczaj, że cesarz rzymski narodu niemieckiego udawał się po wyborze w podróż do Rzymu, by złożyć hołd papieżowi. Była to t. zw. „Romfahrt“, w której brali udział także wszyscy lennicy i wasale cesarza. Od jesieni r. 1936, kiedyto Hitler wskrzesił Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, „Romfahrt“ zmienia się na „Berlinfahrt“. To król Włoch, Albanji i cesarz Etjopji miał przybyć do Berlina. Przybył tylko graf Ciano, a Stanisławowi Strońskiemu zawdzięczamy odkrycie dwóch interesujących dat: Dnia 20 maja 1882 zawarto sojusz niemiecko-austrjacko-włoski; dnia 23 maja 1915 Włosi przystąpili do wojny światowej przeciw Niemcom. Dnia 20 maja 1939 przybył do Berlina podpisać ten sam sojusz graf Ciano; dnia 23 maja wrócił do Rzymu. Kennst du das Land?...

Wódz, który rozpoczął się na 10 lat przed Hitlerem, skończył się w spółce strat „societas leonina“, w cieniu tego, przeciw któremu zawarł jeszcze w 1935 r. umowę stresańską. A na obydwóch czeka tragiczna galerja śmierci, tragicznej śmierci wodzów: Aleksander Wielki przemierzył i podbił pół ówczesnego świata, zginął otruty, Juljusz Cezar umarł pchnięty sztyletem, Juljan Apostata konał z okrzykiem: „Galilaee vicisti!“ Umierał w upadku Napoleon, gaśnie w zapomnieniu samotny drwal Wilhelm II, rozstrzelano Mikołaja II, zginął Dollfuss, umierali od trucizny książęta włoscy i carowie, gilotyna ścinała głowę króla francuskiego. Jeden tylko Cromwell zakończył swe dyktatorskie życie naturalną śmiercią. Czas zmusza obu do rozstrzygnięć: tak wskazują atlasy, najnowsze, jeszcze niepoprawione i tak wskazują, a nawet wymowniej, tuż przedwojenne mapy Gothy, Kozena i Putzgera. Atlasy nie kłamią, urzekają dziwnem podobieństwem powojennych zmian do przedwojennej plamy kartograficznej. Państwa małe, owoc traktatu wersalskiego i idei Wilsona znikają, kontury granic zaokrąglają się, mapa jest coraz mniej różnorodna, tylko sieć sojuszów i paktów staje się gęstsza, jej główne węzły: Moskwa—Paryż—Londyn—Warszawa i Berlin—Rzym—(Wiedeń) są niemal temi samemi węzłami, nad któremi pochylały się głowy oficerów sztabów generalnych w czasie żniw roku 1914.

Franciszek Gil

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK — Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6, tel. 265-09